MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 30. WARSZAWA, 21 LIPCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

WOBEC WYBORÓW

Na dzień 8 września zostały rozpisane wybory do sejmu, a na 15 września — do senatu. Przez dwa miesiące zatem kraj nasz będzie żył pod znakiem wyborów.

Tegoroczne „wybory" odbiegać będą znacznie od dotychczasowych nietylko dlatego, że zmieniona została gruntownie ordynacja wyborcza, ale przedewszystkiem dlatego, że nie weźmie w nich udziału ogół uprawnionych do głosowania obywateli, lecz tylko część wyborców. Stronnictwo Narodowe, a za niem stronnictwa: P.P.S., N.P.R., Ch. Dem., Str. Ludowe uchwaliły nie brać udziału w wyborach, rozpisanych na podstawie nowej ordynacji. Do wyborów stają: żydzi, Niemcy, nie wszyscy Rusini i „sanacja". Będą to, jak widać, wybory cząstkowe, nie odzwierciadlające pełni życia społeczno-politycznego Polski dzisiejszej, a nawet, jak to stwierdzono na podstawie analizy tekstu nowej ordynacji, nie wybory, tylko jednostronne wyznaczanie posłów przez obóz rządzący. Zamiast wyborów będziemy zatem mieli rodzaj plebiscytu: kto pójdzie do wyborów, ten stwierdzi, że popiera obecny system rządzenia i rad jest z rezultatów przez ten system osiągniętych, kto się wstrzyma od głosowania i kandydowania, ten da wyraz swemu niezadowoleniu z gospodarki sanacyjnej. Nie potrzebujemy, oczywiście, dodawać, że, mówiąc o plebiscycie, mamy na myśli faktyczny udział w wyborach... nie zaś t. zw. „cudy nad urną"...

Jak należy rozumieć stanowisko obozu narodowego w sprawie „wyborów"? Co znaczy wstrzymanie się narodowców od głosowania i kandydowania?

Przeciwnicy nasi z jednej strony, a naiwni zwolennicy z drugiej — radziby w tem widzieć rezygnację z walki, przerwanie pracy politycznej. Nic podobnego.

Śmiała i szybka decyzja władz obozu narodowego, nie oglądająca się ani na wynik głosowania nad nową ordynacją wyborczą w sejmie czy w senacie, ani na mandaty, oznacza jedynie przeniesienie walki i pracy społeczno-politycznej z niewygodnego i beznadziejnego już gruntu parlamentarnego na teren kraju, gdzie — kto jak kto — ale właśnie obóz narodowy zawsze czuł się najmocniej i najpewniej. Nie od dziś przecież punkt ciężkości walki spoczywał nie w sejmie, wiadomo jak wybranym, ale w kraju, w przenikaniu całokształtu życia narodowego, całego jego bogactwa i pełni. Nigdy obóz nasz nie tkwił po uszy, bez reszty w parlamencie, ale znaczną część swych sił poświęcał na organizowanie narodu i wpływanie na życie w kraju. Dopóki był jakiś sens, tkwiliśmy — acz niechętnie — w sejmie, z tą chwilą, kiedy pobyt w przyszłym sejmie stałby się całkowicie bezużyteczny, a zacząłby trącić oportunizmem i wygodą, zdecydowaliśmy się bez wahania opuścić gmach przy ul. Wiejskiej i przejść całkowicie do pracy i walki w kraju. W ten sposób prysną wreszcie złudzenia, jeżeli je jeszcze ktoś żywił, że w obecnych warunkach mogliby przedstawiciele opinji niezależnej skutecznie dla sprawy narodo-

wej w sejmie pracować. W oparciu o naród, organicznie z nim związani będziemy mogli tem energiczniej walczyć i tem szybciej ustrój państwa narodowego Polsce nadawać.

Przypomnieć wreszcie należy moment, w jakim decyzja obozu narodowego zapadła.

Wszyscy zdają sobie dziś sprawę z tego, że sytuacja wewnętrzna w Polsce uległa zasadniczej zmianie. „Zgon Marszałka Piłsudskiego" — mówił na herbatce w Prezydjum Rady Ministrów premjer Sławek — „stworzył nowe dla rządu położenie".

„Zabrakło Tego, którego autorytet dawał siłę rządowi... Próby szukania innego człowieka, któryby przez swą wielkość mógł mieć tak pełną władzę moralną — nie dałyby wyniku". A na pytanie: „kto Go zastąpi?" odpowiedział szef rządu, że obecnie nowa konstytucja ma rozstrzygać wszelkie wątpliwości, że „prawo — jako naczelny regulator ma nami rządzić, a w ramach prawa ten, kogo prawo do tego wyznacza".

Nie mamy nic przeciwko temu, jeżeli po 9 latach rządów pomajowych, premjer Sławek podnosi wreszcie znaczenie i wagę prawa w życiu państwowem, choć wolelibyśmy, ażeby było ono częściej i ściśle stosowane, ale nie możemy uznać tego zastępstwa za wystarczające.

W okresie narastających trudności gospodarczych i społecznych, w chwili rozstroju moralnego, w dobie powikłań międzynarodowych nie można bezpiecznie polegać na ustawie konstytucyjnej i w niej widzieć jedyne lekarstwo na zwiększające się kłopoty dzisiejsze.

Kwestja bezrobocia, deficyt budżetowy i bierny bilans handlowy, nędza i przeludnienie wsi, sprawa żydowska, stosunek obywatela do państwa—oto szereg pierwszych z brzegu, nierozstrzygniętych przez „sanację" zagadnień, które może rozwiązać jedynie zwarty obóz polityczny, posiadający jednolity pogląd na świat i wyraźny program działania. Nowa konstytucja, sprzeczna w dodatku z pojęciem nowoczesnego państwa narodowego, nie może zaradzić piętrzącym się trudnościom. Słaba to tarcza, nie potrafi osłonić bezradności „sanacji".

Poważnych zaś prób przekształcenia Bloku Bezpartyjnego na odpowiadający dzisiejszym warunkom obóz polityczny nie widzimy i nie rokujemy im zresztą powodzenia.

Wchodzimy tedy w nowy, najeżony trudnościami okres naszych dziejów.

Zadania obozu narodowego, jako ostoi ładu w kraju, jako piastuna głębszej, samodzielnej myśli politycznej i ośrodka koncentrującego realne siły w kraju, znakomicie w bieżącej chwili wzrastają. Z tem większą energją, odwagą i poświęceniem winien on poprowadzić prace swoje, ażeby móc decydująco zaważyć w momentach zwrotnych naszych dziejów.

Dlatego też mniej dziś interesuje przeciętnego obywatela skład przyszłego sejmu i senatu, tudzież walka o mandaty, a coraz bardziej zaciekawia go pytanie: jak długo potrwa obecny układ sił politycznych w Polsce?

TADEUSZ BIELECKI

CZY PEJZAŻ MOŻE SIĘ PRZEŻYĆ?

W OSTATNICH latach[1]) dają się słyszeć coraz częściej lekceważące sądy o krajobrazie fotograficznym, połączone z przedrwiwaniem „wciąż tych samych łączek, drzewek i strumyków", które miały się już znudzić wszystkim i powinny iść na emeryturę. Z takiemi opinjami spotykamy się zarówno u nas, jak zagranicą, a zwłaszcza w Niemczech, które coprawda nigdy nie przodowały w pejzażu. Mniej lub więcej powołani krytycy młodszej generacji stwierdzają kategorycznie „zmierzch pejzażu" i jego dzisiejszą nieaktualność; potępiają bez wahania tę formę wypowiadania się fotograficznego, pokrewną z malarską, i witają z nieskrywanem zadowoleniem zdobywanie przez fotografję nowoczesną „treści obrazowej własnej i odrębnej". Treści tej młodzi szukają zdecydowanie **poza przyrodą żywą**, w człowieku zbiorowym na tle życia wielkomiejskiego, najchętniej ją upatrując w przedmiotach martwych, wyprodukowanych przez człowieka zbiorowego, od brył drapaczy i skrzydeł samolotów do rytmu żelaznych belek i mozaiki śrub i nitów. Daje się przytem zauważyć szczególne zjawisko, iż rzeczom, fabrykatom i towarom oddaje się pierwszeństwo przed człowiekiem. Nowa fotografja odwraca się plecami od świata przyrody, zaledwie toleruje człowieka pojedyńczego, natomiast uwielbia wszelkie wyroby i wyczyny człowieka kolektywnego. Hasło nowoczesne brzmi: „Frontem do miasta!" i przejawia się nawet w kierunkowości punktu widzenia obrazu. Dawny pejzaż natury, szeroki i przestrzennie rozpłaszczony, był oglądany i odtwarzany w linjach perspektywicznych poziomych, wznoszących się lub opadających łagodnie. Wyzbyto się i tego: naturalny punkt widzenia trafił na indeks i został zastąpiony przez sprzeczne z nim stanowiska optyczne: ukośne, odgórne, stromo wzniesione lub patrzące prostopadle wdół, wogóle przez takie, które poziomowi przeciwstawiają pion i różne odchylenia pionu. Perspektywa pozioma cechowała człowieka powszechnego, związanego z żywym światem przyrody. Zniewolony i jednostronny człowiek wielkomiejski czuje się zawieszony w wielopiętro-

[1]) Praca niniejsza jest jedną z 35-ciu prac J. Bułhaka, które składają się na treść jego najnowszej książki p. t. „Estetyka światła". Książka ta jest obecnie w druku, wychodzi w przedpłacie i zostanie rozesłana prenumeratorom w październiku r. b. Warunki przedpłaty podajemy na końcu zeszytu. (Red.)

wych skrzyniach mieszkalnych, jak kanarek w klatce, i dlatego musi uważać za bliższą siebie perspektywę pionową. Ma oczywiście słuszność, ale ta słuszność jest krzyczącem świadectwem jego „bogatej” nędzy i „wywyższonego” poniżenia.

W ten sposób duch czasu powojennego wypowiada się supremacją miasta nad wsią, zastąpieniem wiecznej przyrody przez efemeryczne wytwory ludzkie, zakrzyczeniem stałych wartości życia, bezbronnie milczących, przez wtrętliwą i rozdętą tymczasowość. Z chaosu tego może kiedyś wyklarują się jakieś nabytki pozytywne, ale narazie są one jeszcze w stanie surowym. Ostaną się te, które przetrwają próbę czasu, i te mogą wejść do sztuki i wzbogacić jej treść przedmiotową. Nieinaczej jednak, jak w zgodzie z przyrodzonemi warunkami życia całej ziemi, ze słońcem, powietrzem i przestrzenią, a nie wbrew nim i bez nich.

Nieżyciowość i nietrwałość motywu wielkomieszczańskiego uzasadniłem na innem miejscu i tu nie mam powodu zatrzymywać się na nim dłużej. Wracam do dawnej treści obrazowej, w której dominowała przyroda, by zastanowić się, ile słuszności mają ci, coby chcieli ją wykreślić z tematyki przyszłej fotografji.

W imię bezstronności trzeba przyznać, że nie wszystkie prace, reprodukowane w pierwszorzędnych wydawnictwach i pokazywane na najznakomitszych salonach międzynarodowych świata, zasługują na miano pejzaży w znaczeniu syntezy artystycznej. Są to nieraz poprostu „widoczki”, ładnie pochwycone i poprawnie oddane, ale pozbawione wymowy indywidualnej, i żaden mędrzec nie zgadnie powodów, dla których częstuje się dorosłą publiczność takiemi cukiereczkami. Nie można się dziwić, jeśli one oburzają lub śmieszą młodych światoburców z parafji urbanistycznej; chcielibyśmy tylko może, by ci krytycy byli równie mało pobłażliwi i dla protegowanej przez siebie tematyki: dla śrubek i guzików. Ale mniejsza — darowujemy im wszystkie „widoczki” — niech sobie ostrzą na nich pióra i języki. Trudno jednak nie zaprotestować, gdy do „widoczków” zostają zaliczone pejzaże Misonne'a, Keighley'a, Whitehead'a, Wańskiego i innych pierwszorzędnych poetów krajobrazu, którzy mają własny styl i ukazują w nim swój świat wewnętrzny. Co innego Styka i Żmurko, a co innego Chełmoński i Wyczółkowski. Trzeba odróżniać hierarchicznie talenty od talencików i zdolnostek.

W sprawie tych ostatnich posłuchajmy anegdoty z prawdziwego zdarzenia. Któryś z koryfeuszy literatury francuskiej został pewnego razu nagabnięty przez młodego debitanta prośbą o poddanie mu „nowego i niezawodnego” pomysłu poetyckiego. Weteran spojrzał z ironicznym uśmiechem na młodzieńca i wypalił mu na poczekaniu: „Dobrze. Mam świetny pomysł. Słuchaj pan i zapamiętaj dokładnie. Jest „on i ona” — wokoło wiosna — i ci dwoje się kochają. — „Mistrzu” — woła młodzian zgorszony — „ależ to banalne i stare jak świat!” — „A właśnie” — odpowiada poeta — „czyś pan myślał, że są jakieś tematy nowe? Wszystkie są stare — nowi są tylko poeci. Spróbuj pan opisać tę starzyznę z talentem, a będzie napewno rzecz nowa”.

Ta nieskomplikowana recepta ma w sztuce zastosowanie powszechne. W plastyce również niema motywów spowszedniałych—są tylko ludzie powszedni, ludzie małej duszy i miernego talentu. Chełmoński i Stanisławski malowali to samo, co wielu innych przed nimi i po nich, ale umieli czynić to tak, jak nie potrafił nikt inny. Swoją wyjątkową, potężną osobowość wycisnęli na swych dziełach, które weszły do skarbca sztuki polskiej, jako wartości t r w a ł e i n i e z m i e n n e, czegoby nie można powiedzieć naprzykład o obrazach takich malarzy, jak Styka, Żmurko, Stachiewicz, Męcina-Krzesz. A jednak ci ostatni byli właśnie wybredniejsi i wyszukańsi w wyborze swych motywów. Niema zatem sensu mówić o powszedniości tematu, bo w powszedniości może być prostota, a prostota jest zaletą dzieła sztuki. Można tylko mówić o przeciętności autorów, którzy nie umieją zrobić ze starego tworzywa rzeczy nowej i dobrej. Ich słaba indywidualność nie jest zdolna narzucić motywowi praw i warunków bytu artystycznego, ani podnieść go do wyżyny syntezy; oddaje więc motyw przypadkowo, nieistotnie, banalnie, w sposób „cudzy”, już nieraz stosowany. A niema nic nudniejszego, jak nieudolne powtarzanie tego, co ktoś inny już zrobił dawniej i lepiej. Ważne jest zatem, j a k się maluje, rysuje lub fotografuje, a temat nietylko się nie przeżywa, ale przeciwnie — jest zjawiskiem stałem, i temat bywa tem prostszy i zwyczajniejszy, im większy artysta go wybiera. W wielkich tematach lubują się częściej — mali artyści.

Tematem obrazu jest życie. Życie w swoich sprawach podstawowych jest niezmienne i — po ziemsku — wieczne. Przyroda dziś jest mniej więcej taka sama, jak przed tysiącem lat. I człowiek tak samo dziś kocha, nienawidzi, walczy i umiera, jak w epokach przedhistorycznych. Ale miasta — dzieła rąk ludzkich — są przemijające: powstają i znikają w prochu ziemi. Przychodzą i odchodzą. To, co się łatwo zmienia, przybywa i ubywa, jest dla sztuki drugorzędne i nieistotne, jako chwilowe kształtowanie tej samej treści, i to kształtowanie n i e p o w s z e c h n e, l e c z l o k a l n e, przywiązane do niewielu punktów globu ziemskiego. Jak pojedyńcze fale w morskiem bezbrzeżu, rozpływają się miasta w wiecznie żywej treści roślinnej, zwierzęcej i ludzkiej świata. Miasta, które chciałyby zarozumiale nadawać ton światu, zapominają, że są na nim n i e r e g u ł ą, l e c z p r z y k r y m w y j ą t k i e m, są w istocie czemś nieskończenie mniejszem, niż gruzłowate wypryski skórki pomarańczowej w stosunku do całego jej obwodu: pomarańcza wcale się nie zmieni, jeśli zeskrobać z niej parę gruzełków. Miasta Meksyku, Peru, Babilonu, Egiptu były niegdyś niemniej słynne od stolic dzisiejszych, szczyciły się swemi udoskonalonemi formami życia nie gorzej od naszych mrowisk żelazno-betonowych. Gdzież one są dzisiaj! W pokładach gruzu i piasku, głęboko pogrzebane, drzemią ich zwaliska, a powierzchnia ziemi zarasta nad niemi takiemi samemi drzewami i kwiatami, jak w każdem innem miejscu. Nawet nikła trawa przydrożna ma w sobie genetycznie więcej zarodków wiecznotrwałości, niż pyszne miasto. Życie ziemi, to przedewszystkiem byt tworów organicznych, a nie zwały kamienia i żelastwa. Życie rozwija się i wzrasta w słońcu, w jego promieniach bytuje, kwitnie, porusza się i tętni radością istnienia — bierze tę radość z gleby, wody, wiatru, powietrza i światła. Taka jest powszechna treść i jedyna wieczność ziemska, objęta pojęciem przyrody i człowieka w przyrodzie. Ona jest i będzie realna i niezmienna, trwająca przez wszystkie mil

jony stuleci przeszłych i przyszłych, dopóki będzie istnieć ziemia. I będzie wiecznym, najważniejszym rezonatorem duszy ludzkiej, niewyczerpanym przedmiotem i karmią jej twórczości. Artyści będą zawsze stężać uczucia swe i wcielać je w promienistość słońca, w bogactwo roślinnej zieleni, w wizje obłocznej architektury, w dal przestrzennego zbłękitnienia, i ten serdeczny związek człowieka z naturą będzie wyrażał się plastyczną przenośnią, zwaną obrazem, krajobrazem, pejzażem. Jakżeby zatem mogło przeżyć się i zestarzeć to, co stanowi konieczną treść najszerzej pojętego bytu, to, co zapełnia glob ziemski i wiąże się z jaźnią ludzką najmocniejszemi węzłami współżycia realnego i duchowego?

Natura jest starsza i długotrwalsza od człowieka, a tem bardziej od wątłych wytworów jego rąk. Przyroda — to objaw w o l i ż y c i a ziemi, plastyczne i kolorystyczne uzewnętrzenienie niespożytych jej mocy twórczych. Przyroda istniała miljony lat bez człowieka i z pewnością przetrwa jego przelotny pobyt na kuli ziemskiej. Więc nie można wyobrazić życia bez szmaragdów zieleni, bez szafirów błękitu, bez opali chmur, bez iskrzenia słonecznego złota. Klejnoty te kryje w sobie nieprzebrana skarbnica krajobrazu, który będzie wieczną tęsknotą i wieczną radością człowieka.

Bo czemże jest pejzaż prawdziwego artysty? Czyżby tylko był rozrywką wzroku i ozdobą ściany?

„*Un paysage est un état d'âme*" powiedział Henri Bordeaux w jednej ze swych pięknych książek i do tego określenia nie można nic więcej dodać. Chyba komentarz dla potrzebujących kropki nad „i". Syntetyczny obraz przyrody jest stanem duszy i zawiera bez reszty całą istność człowieka, jego najsłodsze radości i najgłębsze troski, jego byt rzeczywisty i wewnętrzny. Nazewnątrz walczymy o większe lub mniejsze kawałki chleba, zmagamy się o władzę i zadowolenie pychy, zużywamy się w pogoni za liczmanami o rozmaitych nazwach, ale przecież naprawdę, w chwilach szczerości z samymi sobą, wnętrznemi odruchami jaźni, wołaniem z dna duszy — jesteśmy poza tem wszystkiem, jesteśmy gdzieindziej. A wtedy przychodzą samotne wczasy i ukojne wmyślenia, kiedy harmonja wyższego porządku rzeczy objawia się nam i brzmi zgodnym akordem z otoczeniem i z naszą duszą. To są chwile osobliwe, roztrzygające o wartości życia. Przybliża nam je, urzeczywistnia, potęguje związek z przyrodą i z ziemią. Przeżywamy je najmocniej i najpłodniej w obcowaniu z otaczającą nas ziemską wiecznością i dlatego tak mocno zespalamy się sercem z jej obrazami. Tych świętych węzłów, raz zadzierzgniętych, nie jest mocne zerwać miasto, ponieważ miasto jest wyjątkiem, nie prawidłem w żywem zaludnieniu ziemi. Nie zdołamy wyrazić naszych stanów duchowych inaczej i lepiej, jak twórczem upostaciowaniem oblicza ziemi i w tej najwyższej i nieuchronnej konieczności znajduje się odpowiedź na pytanie, czy pejzaż może się kiedykolwiek przeżyć...

Pejzaż jest stanem duszy człowieka żywego i trwać będzie tyleż, ile ludzkość. Biorąc po ziemsku — pejzaż jest wieczny.

Ten horoskop jest ważny i dla pejzażu fotograficznego, jeśli fotografja ma być sztuką, a nie zabawą. Fotografika współczesna może sobie szukać i znajdować różne nowe tematy dla chwilowych eksperymentów, ale w najważniejszym — w krajobrazie, niema dla niej godziwszej ambicji, jak iść ręka w rękę z malarstwem. Odrzućmy zatem wszelkie widoczki i obraziki, któremi zanudzają nas ludzie, nie mający nic własnego do powiedzenia, tak jak się odwraca ucho od dziecięcej paplaniny w kole dorosłych osób, zajętych sprawą pilną i ważną. Wydajmy widoczki na słuszną wzgardę krytyków i przeciwników pejzażu, ale tym ostatnim powiedzmy stanowczo: „Od reszty — wara", Kto lekkomyślnie odszedł od przyrody, kto utracił wolę i zdolność obcowania z pięknością świata podsłonecznego, albo nie miał szczęścia znać jej i wyrosnąć organicznie ze szmata własnej ziemi, rodzimej i kochanej — ten nie ma prawa mówić o pejzażu, tam samo, jak nie może ślepy mówić o kolorach.

Zresztą ludzie, żyjący normalną pełnią życia, nie lekceważą krajobrazu, i to nawet niezależnie od stopnia swej kultury. Człowiek zżyty z ojczyzną i cieszący się jej rozległością i malowniczością, człowiek, który zachował atawistyczne wspomnienie swego przyrodzonego wiejskiego pochodzenia, nie potrafi być obojętnym na krajobraz w jego realnej prawdzie i w jego artystycznej przenośni. Może nie interesować się specjalnie obrazami ziemi, ale będzie podświadomie szanował ich serdeczną moc i wagę dla wtajemniczonych. Na to, by lekceważyć sprawy ziemi i mieć je za przedmiot niegodny uwagi — na to trzeba być człowiekiem bez ojczyzny, ślepym tworem wielkomiejskim o cechach duchowych komiwojażera. Taki zna kraj powierzchownie, od strony korzyści lub rozrywki, ocenia go na sposób hotelowo-turystyczny, spogląda nań z samochodu i szuka w nim nowinek i ciekawostek. Komiwojażer czuje się nieswojo wobec pejzażu, więcej nawet, on ignoruje go świadomie, a bezwiednie nie znosi jako sprawy drażliwie obcej. Pejzaż jest kosztowny — trzeba zapłacić zań trudem całego życia, a on ma tylko pieniądze. Pejzaż jest uciążliwy — trzeba go zdobyć wytężeniem serdecznem, a on ma tylko roztargnione spojrzenie. Pejzaż jest niezrozumiały — trzeba go przeżywać głęboko i wielokrotnie, a on się śpieszy i wypatruje sensacji. Pejzaż jest wreszcie ojczysty i narodowy — a on miał za kolebkę szlak wędrowny lub miejską skrzynię towarową. Ileż to doskonałych powodów do twierdzenia, że pejzaż jest niczem!

Tacy ludzie nie mogą oczywiście podobać sobie ani w krajobrazie natury, ani w pejzażu plastyki. I tylko tacy mają odwagę utrzymywać, że pejzaż się przeżył, ponieważ dla nich on nigdy nie istniał. Są zbyt ubodzy, by uprzytomnić sobie tę najpiękniejszą prawdę, że krajobraz jest wieczny, jak świat, bo jest — całym światem. Ten świat napełnia duszę artysty zmienną gamą odczuć, porywów, doznań i zespoleń: jest miarą szczęścia i ceną życia. Gdy uczucia dojrzeją do najwyższego stopnia nasilenia, wówczas powstaje pejzaż. Pejzaż jest przymierzem duszy z ziemią i zasługuje na miłość i cześć, nie na drwiny. Przed świątynią ludzie obnażają głowy, a tylko stada przechodzą mimo z hałasem. Pejzaż jest także świątynią — trzeba go uszanować, jeśli szanujemy nasze człowieczeństwo.

JAN BUŁHAK

NA SZCZYTACH POLSKIEJ LIRYKI RELIGIJNEJ

(Dokończenie)

III

WIĘC jakież to własne przeżycia religijne unieśmiertelnił Mickiewicz, przyoblekając je w cudowną szatę poezji lirycznej? jakie uczucia i myśli dźwięczą w niej i nadają jej jedną psychologiczną całość, odzwierciadlając główne fazy procesu odrodzenia religijnego, począwszy od gorącego pragnienia żywej wiary, przez walkę pysznego intelektu z pokornem sercem aż do upokorzenia się uroszczeń intelektu przed domagającemi się wiary prawdami serca, to jest do triumfu wiary i tego jej najwyższego skarbu, którym jest poczucie bliskości, a nawet obecności dalekiego Boga we własnej duszy? Jeżeli naprawdę odrodzenie religijne Mickiewicza kroczyło temi szlakami, to pierwszem ogniwem tego łańcucha przeżyć jest wiersz „Do Marceliny Łempickiej", ostatnim — „Rozmowa wieczorna", ogniwami zaś pośredniemi — „Mędrcy", „Arcymistrz" i „Rozum i wiara". Dodać trzeba, że niejedno z ogniw pośrednich nie doczekało się wyrazu w poezji Mickiewicza: nie należał on przecie do tych wielomównych poetów, którzy dają wyraz wszystkiemu temu, co się w ich duszy działo, a dla zaokrąglenia temu także, co się dziać mogło, ale się nigdy nie działo:

„Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma jak mgły szata
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem:
I tylko w nocy — cicho — na Twe łono
Wylewam duszę, we łzy roztopioną".

Wiersz „Do Marceliny Łempickiej w dzień przyjęcia Komunji świętej" pięknie nazwała Konopnicka[1]) „wizją seraficzną", „jakby jednym z tych starych obrazów, do których malowania prerafaelici gotowali się modlitwą i skruchą". Jest ten wiersz cudownym w swojej poetyczności i w sile uczucia wyrazem zachwytu grzesznego człowieka na widok „świętej i skromnej" kobiety, którą świeżo „za stołem swym Chrystus ugościł", i jednocześnie wyrazem gorącego pragnienia tego grzesznego człowieka, żeby choć raz jeden jego dusza stała się tak niepokalanie czystą:

„Ty spuszczasz oczy, które Bóstwem gorą!
Jak ty mnie swoją przerażasz pokorą!

. . . .

Jabym dni wszystkich rozkosz za nic ważył
Gdybym noc jedną tak jak ty przemarzył".

Życzenie się spełniło. Grzeszny człowiek przystąpił do Sakramentu pokuty i Eucharystji i umocnił się w swej wierze w bóstwo Chrystusa.

Wyrazem tej jak śmierć mocnej wiary są „Mędrcy". Ta bowiem groza dramatyczna, która przenika opowieść o zamordowaniu Boga-człowieka przez mędrców, opętanych pychą chłodnego intelektu, którego spokojność mieszał im cud wcielenia, — jest symbolem własnej wiary w ten cud i własnego sądu o tych fałszywych mędrcach. Ale ten symbol nie wystarczył Mickiewiczowi do wyrażenia swojej wiary, więc przemówił on jeszcze bezpośrednio, wprost od siebie z lapidarną krótkością, ale z majestatyczną w swoim spokoju i w swojej potędze pewnością wiary w bóstwo Chrystusa:

„Spełnili mędrcy na Boga pogrzebie
Kielich swej pychy. — Natura w rozruchu
Drżała o Boga. — Lecz pokój był w niebie:
Bóg żyje, tylko umarł w mędrców duchu".

Lecz wiara w bóstwo Chrystusa opromieniła i uświęciła duszę nietylko człowieka, ale i artysty-poety. Wiadomo, że w epoce romantyzmu poeta uchodził we własnych, a czasem i w cudzych oczach za naczynie osobliwego nabożeństwa, za człowieka-twórcę, obdarowanego niemal równą siłą, jak Bóg-stwórca. Miał tę wiarę w pewnej chwili swego życia i Mickiewicz, jak tego niezbicie dowodzi „Improwizacja". Otóż i tę sferę jego pojęć objęło odrodzenie religijne. Widać to z wiersza „Arcymistrz", będącego aktem pokory nie religijnego człowieka wogóle, ale religijnego artysty. „Bożym synem" nazywa go wprawdzie Mickiewicz, ale jakiż stąd wyprowadza wniosek? Czy może taki, że artysta, jako syn boży, ma prawo wywyższać się ponad innych ludzi, nie obdarowanych boskim darem twórczości? Nie! Wniosek jest zupełnie inny: artysta, kiedy zwykli ludzi nie pojmują jego twórczości, kiedy nim nawet wzgardzą, powinien pamiętać, że ludzie nie pojęli dotychczas tej twórczości, wobec której jego twórczość jest niczem, to znaczy ani twórczości Boga-stworzyciela, ani twórczości Boga-człowieka, którym dzisiejszy świat „gardzi, poznawszy w nim brata", to jest którego przestaje uważać za Boga. Więc, jeżeli tak, jeżeli ludzie Boga dotychczas nie poznali, a nawet nim gardzą, to jakiem czołem artysta miałby się prawo skarżyć na brak rozumienia i uznania wśród ludzi?

„Sztukmistrzu ziemski! czem są twe obrazy,
Czem są twe rzeźby i twoje wyrazy?
A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli i snów i dzieł nie rozumie?
Spojrzyj na Mistrza i cierp, boży synu,
Nieznany albo wzgardzony od gminu".

Myśl przewodnią książki Tomasza à Kempis, którą po spowiedzi otrzymał w darze od księdza Chołoniewskiego i w której się z takiem upodobaniem rozczytywał, to znaczy myśl, że głównym sensem życia człowieka jest naśladowanie Jezusa Chrystusa, — Mickiewicz zastosował także do artysty. Pokora poety stanęła tutaj na szczycie.

A szczytem pokory myśliciela jest wiersz „Rozum i wiara". Możnaby go nazwać poetyczną filozofją wiary, gdyby jego źródłem i kryterjum prawdy była myśl, a nie serce; ono już w młodości mówiło mu: „Czucie i wiara silniej mówią do mnie, niż mędrca szkiełko i oko"; a później, w Dreźnie, powiedziało mu, że wiara jest w dzie-

[1]) „Mickiewicz, jego życie i duch". Warszawa, 1899, s. 78.

dzinie życia poznawczego, a cóż dopiero religijnego, czemś stokroć wyższem od rozumu, że ona i tylko ona, jeżeli nie doprowadza, to przynajmniej zbliża człowieka do poznania, co więcej, do ujrzenia najgłębszych tajemnic bytu i najwyższych, bo transcendentnych wartości życia, że rozum bez wiary byłby „niewidomy".

„Przejrzałem niskie ludzkości obszary
Z różnych jej mniemań i barwą i szumem:
Wielkie i mętne, gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne przed oczyma wiary".

I właśnie przez to wyznanie wiersz „Rozum i wiara", chociaż nie jest jeszcze zenitem liryki religijnej Mickiewicza, ma w sobie najwięcej charakteru powszechności religijnej, jest bowiem wyrazem tego zjawiska psychologicznego, bez którego niema i być nie może religji we właściwem znaczeniu tego wyrazu, nietylko chrześcijańskiej. Cóż jest tem zjawiskiem? To, co filozofja nazywa pewnością intuicyjną (która u niektórych religijnych myślicieli, a zwłaszcza u świętych, jest nawet wizją, dosłownie: wizją, — nie halucynacją, tylko rzeczywistem widzeniem).

Są prawdy, których człowiek nigdy nie dowiedzie rozumem, w które jednak wierzy i które mu są koniecznie do życia potrzebne. Do tych prawd należą nadewszystko prawdy religijne. Jak o nich nie wątpić? Na to jest tylko jeden sposób, nie dla każdego naturalnie możliwy: móc i chcieć uznać, że rozum — w pewnych i to najwyższych, dziedzinach swoich dociekań — jest bez wiary niewidomy. Mógł i chciał uznać tę prawdę i Platon, który wierzył, że myśl człowieka może przybrać postać entuzjazmu, t. j. ujrzeć w nagłej wizji boskie tajemnice świata, a tembardziej — Plotyn, kiedy uczył, że w ekstazie człowiek musi osiągnąć jedność i bliskość z Bogiem, że więc *parusia epistemes kreitton* („obecność" jest lepsza od wiedzy); i święty Augustyn, kiedy uzależniał poznanie prawdy nietylko od pracy rozumu, ale i od bicia serca i — w czasach nowszych — Pascal z takiemi swojemi myślami, jak ta, że „poznajemy prawdę nietylko rozumem, ale także i sercem", albo jak ta: „*La religion c'est Dieu sensible en coeur*". W wieku XIX, w epoce romantyzmu, z myślicieli niemieckich przedewszystkiem Fichte twierdził, że miłość, to jest serce, jest „źródłem wszelkiej pewności, wszelkiej prawdy i wszelkiej rzeczywistości", a z myślicieli polskich Józef Gołuchowski uczył, że „kategorja miłości jest najwyższą kategorją", „punktem kulminacyjnym najgłębszej spekulacji", że ona tylko „rozwiązuje wszystkie wielkie kwestje — osobowości Boga i człowieka, stworzenia i celu jego, woli, wolności i ostatecznego przeznaczenia człowieka, doczesnego i przyszłego bytu"[2]). A w czasach późniejszych, w epoce reakcji przeciwko pozytywizmowi i materjalizmowi, ten myśliciel francuski, który swoją młodzieńczą pracą „*De la contingence des lois de la nature*" tak potężnie zachwiał teorją determinizmu (potępioną — narówni z teorją przypadku — przez Mickiewicza w wierszu „Rozum i wiara"), Emil Boutroux, w dziele „*Science et Religion*" (1908) uzasadnia i rozwija pogląd Kanta, że ani spekulacja, ani nauki doświadczalne nie dowiodą prawdziwości wielu z tych postulatów, bez których człowiek nie mógłby żyć, nie dowiodą, aby jedne wartości były większe od innych, bo przecie dla nauki wszystkie t. zw. wartościowania są tylko faktami, tylko materjałami do badań, a nie do orzekania, która z nich wyższa, a która niższa; kto wierzy w świętość obowiązku, kto go pragnie pełnić, temu, zapewne, nauka może wskazać do tego drogę, ale samej wiary w świętość obowiązku nie wzbudzi i tej świętości nie dowiedzie, jak nie udowodni ani istnienia wszechmocnego i kochającego swoje stworzenie Boga, ani nieśmiertelności duszy.

Ale czy tylko prawdy religijne leżą poza obrębem poznania rozumowego?

„Próżna ciekawość, próżne serca bicie...
Chyba nam echo odrzuci pytanie,
Przywtórzy myśli, tkwiącej w piersiach skrycie,—
I nieraz, biedni, za prawdę bierzemy —
Ten głuchy oddźwięk własnej wyobraźni,
Sądząc, że słyszym tajny głos natury".

Asnyk ma słuszność. Całe nasze poznanie, cała nauka jest, ściśle biorąc, jedynie „oddźwiękiem własnej wyobraźni" ludzkiej, albo, jeśli kto woli, tłumaczeniem faktów, stanowiących przedmiot badań naukowych, na język ludzki, który przecie jest czemś równie subjektywnem, jak np. wrażenia wzrokowe czy słuchowe; bo przecie zarówno barwy i kształty, jak dźwięki, są tylko wytworem ludzkiego organizmu fizyczno-psychicznego, są tylko symbolami rzeczy. Całe więc nasze poznanie jest w rzeczywistości jedynie symboliczne. Nie dziw tedy, że dla niektórych ludzi (a do nich należą nieraz tej miary myśliciele, co William James) prawdy intucyjne, a więc także i religijne, dobyte „nie z ksiąg ani opowiadań, ani z rozwiązania zadań", ani z naukowych badań, są czemś pewniejszem od tak zwanych prawd naukowych, czyli innemi słowy, wiara jest czemś wyższem od rozumu — ona jedna wskazuje prawdziwą drogę, a cóż dopiero prawdziwy cel życia. I to właśnie jest naczelną myślą wiersza Mickiewicza „Rozum i wiara".

W „Romantyczności" ta myśl nie miała jeszcze zabarwienia religijnego, tylko, jeśli tak można powiedzieć, teorjo-poznawcze: tutaj ma nietylko zabarwienie religijne, ale i religijny, z głębin wierzącej duszy wyjęty podkład i wyłącznie religijną treść.

I wreszcie — korona liryki religijnej Mickiewicza i, co za tem idzie, korona całej polskiej liryki religijnej.

„Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domu mego ducha.
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! Słów nie mam dla Ciebie:
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha".

Z pośród pięciu utworów lirycznych Mickiewicza z epoki jego odrodzenia religijnego ta jedna jedyna „Rozmowa wieczorna" jest modlitwą, o ile, rozumie się, pospolitą definicję modlitwy uzna się za zbyt ciasną. „*Oratio est ascensus mentis in Deum, petitio decentium a Deo*": „Modlitwa jest podniesieniem umysłu ku Bogu, błaganiem o to, o co Go błagać przystoi". Tak określa modlitwę święty Jan Damasceński, i tę jego definicję powtarza święty Tomasz z Akwinu. Otóż dzisiejszy psycholog francuski Segond w swem studjum psychologicznem o modlitwie[3]) rozszerza to pojęcie, stwierdzając, że nieraz człowiek, kiedy się zatopi

[2]) Ob. Dawid, „O intuicji w mistyce", s. 67.

[3]) „*La prière. Étude de psychologie religieuse*". Paris, Alcan.

w modlitwie, nie zwraca się nietylko do Boga, ale wogóle do nikogo, że przynajmniej nie uświadamia sobie dobrze, do kogo się zwraca[4]). Oczywiście i to jeszcze zaznacza Segond, że w modlitwie, kiedy się człowiek zwraca do Boga, nie zawsze przedkłada Mu swoje potrzeby, nie zawsze prosi Go o łaski. Co innego „zwyczajna modlitwa", to jest prośba *(prière)*, a innego „modlitwa wewnętrzna" *(oraison)*[5]).

„Rozmowa wieczorna" jest „modlitwą wewnętrzną": Mickiewicz zwraca się wyraźnie i bezpośrednio do Boga, ale nie prosi Go o nic. I do samego końca nie traci świadomości, że się do Boga zwraca, inaczej, niż np. św. Teresa, która, jak to opowiada w swoim autobiograficznym „Zamku dusznym" („*El Castillo interior*)[6]), kiedy jej duszę ogarniała — na początku ekstaz religijnych — jakaś nadziemska błogość, zapominała o tem, że jej pierwotnem źródłem było poczucie obecności Boga w duszy. Mickiewicz w ekstazę nie wpada: „Rozmowa wieczorna" jest świadomą kontemplacją Boga we własnej duszy i Boga w zaświatach. Lecz ta kontemplacja jest dlań źródłem podobnej nadziemskiej błogości dusznej, którą św. Teresie dawała dopiero ekstaza. A później, kiedy, mając swoje doznania w żywej pamięci, zaczął tworzyć, stała się ta kontemplacja Boga, jednocześnie bliskiego i dalekiego, zasadniczym pomysłem konstrukcyjnym „Rozmowy wieczornej".

„Najdalej władasz i służysz pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mem na krzyżu.
. . . .
Tyś Król, ó cuda! i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany,
I każda zła chęć jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam zagniewany.
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,
Cierpisz, jak sługa, panu zaprzedany.
Jak Ty na krzyżu — Twój pan, Twoje dziecię
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie".

Ten motyw kontrastu jest dobrze znany już religijnej poezji barokowej, oscylującej pomiędzy niebem a ziemią, będącej wyrazem gorącej i głębokiej religijności biednych ludzi reakcji katolickiej XVII wieku, którzy grzęźli w ziemskiem błocie grzechu, ale wznosili z tego błota ręce i serca ku niebu. Tylko że poezja barokowa całego świata nie zdobyła się na tak wspaniałe uplastycznienie tego kontrastu, jak Mickiewicz, który, dźwignąwszy się z upadku moralnego, głęboko wierzył w Boga transcendentnego w niebie, a jednocześnie na ziemi — w swojem własnem sercu — czuł Jego obecność, i to nietylko jako potęgi najwyższej, ale także jako nieograniczonej miłości i niewyczerpanego miłosierdzia dla człowieka grzesznego, żałującego za grzechy:

„Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy,
Zły wnet ucieczką ratował się skorą,
Dobry zapłakał, lecz odwrócił oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz.
Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy, niźli jęk cierpienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi — głos złego sumienia:
Sędzio straszliwy! Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu — a Tyś mnie wysłuchał".

Przez poczucie obecności Boga w sercu, dające człowiekowi, pomimo smutku, bólu, łez, wyrzutów sumienia, błogi spokój duszy, „Rozmowa wieczorna" należy do tego samego szeregu utworów chrześcijańskiej literatury religijnej, który otwierają „Wyznania" św. Augustyna. On bowiem pierwszy odzwierciedlił w swem dziele tak potężnie to, czego Marek Aureljusz miał tylko przeczucie, mianowicie doznania duszy, czującej się jednocześnie blisko i daleko od Boga. Jest później to poczucie u mistyków, nietylko średniowiecznych, ale i późniejszych, jak np. św. Teresa, św. Franciszek Salezy, a także u myślicieli, i to nietylko XVII wieku, jak np. Boehme, ale jeszcze i XIX, jak nadewszystko Maine de Biran[7]).

Dodajmy jeszcze, że, formalnie biorąc, „Rozmowa wieczorna" Mickiewicza nie jest rozmową: w sercu swojem nie słyszał on głosu Boga, a przynajmniej nie mówi, że go słyszał, jak słyszała go np. święta Małgorzata-Marja, która świadczy o tem w swoich pamiętnikach, albo jeszcze Amiel, który opowiada w swoim „*Journal intime*", że raz, kiedy już wszystko powiedział Bogu, co powiedzieć pragnął, usłyszał w duszy głos: „*Mon enfant, donne moi ton coeur*".

Nie będąc jednak formalnie rozmową człowieka z Bogiem, jest nią jednak „Rozmowa wieczornu" w swojej istocie. Bo jakże? Mówi przecie Mickiewicz wyraźnie:

„Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha
. . . .
I każda dobra myśl, jak promień, wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,
I, nazad płynąc, znowu mię ozłaca".

Jakąż to myślą ozłocił Pan Bóg — Mickiewicza w odpowiedzi swojej? Czy tylko „rozdmuchał ognie" jego „sumieniu złemu", żeby rozbudzić w nim skruchę i pokorę? Czy tylko dał mu nowe siły do życia duchowego? Nie, dał mu coś więcej jeszcze, — to, o czem mówił Mickiewicz w pierwszej strofie wiersza „Rozum i wiara":

„Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem jak chmurę przed słońcem,
Pan je wzniósł w niebo, jako tęczy koło,
I umalował promieni tysiącem".

Co to znaczy? Mickiewicz nie byłby sobą, nie byłby Mickiewiczem, to znaczy nie czułby, że

[4]) Fryderyk W. H. Myers pisał do jednego ze swych przyjaciół: „A la question: Qui devons nous prier? nous répondros — si étrange que soit la réponse — que cela n'a pas une grande importance... Nous ne savons pas assez ce qui se passe dans le monde spirituel pour saisir comment agit la prière; nous ne savons pas qui la reçoit, ni par quel canal nous vient la grâce" (William James, „*L'Expérience Religieuse*". Paryż, 1908, s. 390).

[5]) Ob. Abramowski, „Źródła podświadomości i jej przejawy". Warszawa, 1914, rozdział o modlitwie, i Dawid, „Psychologja religji", s. 124.

[6]) Höffding, „*Erlebnis und Deutung, eine vergleichende Studie zur Religionsphilosophie*". Stuttgart, 1923.

[7]) O poczuciu „obecności" w duszy ob. Dawid „Psychologja religji", s. 88; Abramowski, j. w.; Lutosławski „*The Knowledge of Reality*" (Cambridge, University Press, 1930, s. 133): „The true mystic is not a part of or an emanation from his Creator, but knows himself as a creature, and the joy of union is intensified by the consciousness of the abyss originally separating Creature and Creator, which is now miraculously crossed": Volkelt „*Das Problem der Individualität*" (München, 1928, C. H. Beck, s. 144). „Das Verhältniss zu Gott kennzeichnet sich durch eine eigentümliche Gegensätzlichkeit und Spannung, die doch als einfache in sich zusammengehende Einheit gefühlt wird. Wir fühlen Gott als fernen und zugleich als unmittelbar nahen. Die Liebe zum unendlich Fernen ist zugleich eine Liebe zum Allernächsten. Wir blicken zu Gott als einem Uebererhabenen empor und haben ihn zugleich unmittelbar in uns".

on i Ojczyzna to jedno, gdyby w płomieniach jego odrodzenia religijnego zgorzała miłość narodu[8]). Otóż ta miłość jest w jego liryce religijnej — w drugiej strofie wiersza „Rozum i wiara":

„I będzie błyszczeć na świadectwo wierze
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu:
I gdy mój naród zlęknie się potopu
Spojrzy na tęczę i wspomni przymierze".

[8]) Tu warto przytoczyć słowa Dawida: „Religja ludzkości, poza szczupłem kołem comte'ystów, nie zdołała poruszyć mas szerszych dlatego przedewszystkiem, że pojęcie, zbyt oderwane, obejmujące obce sobie albo i antagonistyczne grupy społeczne, nie odgrywa żadnej roli w rzeczywistem uczuciowem i praktycznem życiu tych mas. Natomiast widzimy, że pojęcia takie jak Naród, Ojczyzna, istotnie skupiają w sobie uczucia i dążenia natury religijnej, bywają powodem doświadczeń i skutków, właściwych życiu religijnemu, jak odrodzenie, wyrzeczenie się siebie, zjednoczenie, czyny ofiarne". („Psychologja religji", s. 134 — 5).

Jakie przymierze? To samo, które w „Hymnie do Boga" Woronicza Bóg zawarł z narodem polskim, a na którego straży kazał stanąć jemu, Mickiewiczowi! Tak, „błyszczeć na świadectwo wierze", wierze w naród, będzie (tak wierzył Mickiewicz) ta tęcza, którą tysiącem promieni Bóg umalował jego czoło, kiedy się ono pokornie i dobrowolnie zgięło przed Nim. I w tę tęczę ma naród spojrzeć, żeby w niej znaleźć siły do zwalczenia klęsk, gdy „luną z niebieskiego stropu".

I oto stanął Mickiewicz na straży świętego przymierza Boga z narodem. W różnobarwnej tęczy jego poezji, która, z łaski bożej, tysiącem promieni zajaśniała dopiero dzięki jego odrodzeniu religijnemu — w trzeciej części „Dziadów", w „Księgach pielgrzymstwa" i w „Panu Tadeuszu" — najsilniej błyszczą dwa święte promienie: wiara w Boga i — wiara w Naród.

IGNACY CHRZANOWSKI

NORWIDJANA II

ROZPRAWA O HISTORJOZOFJI SŁOWA

podał STANISŁAW PIGOŃ

(Dokończenie)

LITERA W POJĘCIU. Literę w pojęciu chcąc uważać, nie można jej jeszcze uważać w alfabecie. Litera, w pojęciu uważana, jest to łącznik pomiędzy psychiczną akcją a widzeniem, jest to =, dwie linje równoległe przymierzone do siebie.

Litera więc, ten łącznik między światem wewnętrznym a zmysłowym, ogranicza się liczbą zmysłów onych: — jako pismo, dla wzroku, — jako nuta i rytm muzyczny, dla słuchu,— jako plastyka, dla dotykania, jak język, dla głosu, — jako używanie dóbr ziemskich, dla smaku. A stąd jest granic jej naturalnych liczba pięć (V).

Że zaś granica liczby, np. granica pewnej liczby drzew na polu, jest zarazem granicą kształtu tej liczby, np. drzew, więc i ta liczba V, na której rozłamuje się rachunek dziesietny, decymalny (wszystkim na świecie ludom wspólny i wrodzony), jest granicą również kształtu liczb,—jako to, przyszedłszy kreskami: jeden, dwa, trzy, I II III do pięciu, jest to pierwszy kształt, który napotykasz: V, tylko w jedną stronę odejmując, a dodając w drugą: IV : VI etc.; przyszedłszy do dziesięciu, stawiasz dwa pięć jedno na drugiem: X, i znowu IX : XI...

LITERA W ŚWIECIE. Wspomniało się już wyżej, że pierwszym dla ludzi alfabetem był firmament, gwiazdy, konstelacje; — tam się wzroki jednały wszystkich wzrok nad ziemią podnoszących, i stamtąd też spadły im pojęcia pór roku, równań, znaczeń liter.

Jak było przed upadkiem, to nie samego pisma rzeczą, a tem mniej tego pisma i mówimy tu tylko o człowieku w onych już porajskich trudach jego i w współuczestnictwie trudów onych.

Ile liter stamtąd nam zleciało, a ile tam znowu powróciło, trudno jest się nad tem rozpisywać. Zwłaszcza, iż przez to, co w astronomji nazywa się precesja ekwinoksji, wiele już jest nazwisk konstelacyj rozdzielonych z tem, co oznaczały, — tak iż ów alfabet konstelacyj coraz to konwencjonalniejszą formą staje się...

LITERA W CZŁOWIEKU. Że litera jest formą, więc w człowieku litera formą jego.— I tak Leonardo da Vinci zauważył, że człowiek wolnym ruchem rąk i nóg zakreśla koło ⊕, do tego zaś w następstwie (uważając figurę powyższą) dołączywszy, że punktami rąk i nóg czterema kwadrat w kole oznacza, a nóg samych postawą trójkąt, a postawą cało-osoby w spoczynku, jak np. mumja egipska, owal czyli elipsoidę, a ciążenia linją prostopadłą, mamy już: koło, trójką, kwadrat, owal, i linją prostopadłą, czyli pięć onych kształtu samogłosek, z których wszystkie kształtów kombinacje.

(Tu czytelnik niech myślą się odniesie do tego, co o początku architektury symbolicznej, na ukaz budowanej, i o samogłoskach żywych, inicjujących mówiliśmy. Ci na świecie, co ponad ziemię wzrok wznosili, ci znak wzięli z onego pierwszego alfabetu, a byli to odznaczający się od tłumu: samowładcy, chaldejscy kapłani i t. d. Mówiło się już o tem w swojem miejscu, o słowie społecznie uważanem, każącem, o pierwopomnikach i o początku alfabetu).

Nie możemy tylko tu pominąć, że naturalna granica pierwokształtów jest nanowo ich liczbą harmonijną, składając je w całość miłą oku wszystkie zawsze w jeden z nich się złoży, i że każdy z nich złożony szósty niekompletnym albo monstrualnym będzie, chyba, że już moralną w siebie weźmie wartość odnośnego znaczenia, wyobrażenia czegoś lub rysunku...

LITERA RASY. Mówiliśmy już wyżej, słowo-rasy wyłącznie określając, że stanowi je przycisk jednostronny, który w miarę swej siły dopiero w słowie narodowem muzyką albo rytmem osobistość swoją odnajduje, nadto w architektonicznym rytmie, porządku doryckim i jonickim, albo i w korynckiej kombinacji, niemniej nawet w cało-słowie Grecji, w stylu, jak np. w epopei jonickiej i komedji attyckiej, co przymiotem wyłącznym Grecji było i określonego już kierunku.

Tu podobnież literę, t. j. formę samą określając, musimy uważać, iż ta na akcencie plastycznym rasy danej zależy, nie będąc bynajmniej pozbawiona idealnego odszukania harmonji swej w całości wyższej—treści, przez negację wszakże, nie kierunek. Siamczycy malują zęby czarno, żeby nie być w tem do zwierząt podobnymi i t. p. Negatywne formy podnoszenie w monstrualność przechodzi, i ta znowu granicą.

*

Od litery narodu musielibyśmy przejść na nowo do słowa narodu, więc do Grecji, do literatury, do stylu, do cywilizacji, tej litery-epoki, i do poddania się czasowi, a następnie do Rzymu, skąd wyszliśmy w tej kwestji, do tego to Narodu-Litery!...

RZYM. Prawo a miecz,—zabawy i organizacje, — oto stary Pan świata. Wiele jest ras, co w sobie nic nie mając, grawitują same do ciężaru onej prawa—litery, albo inne zdradzają i popychają w kształt rosnący, nie mający końca, ani żadnego odpoczynku w osklepieniu wrodzonem.

Litera albowiem, — jak się rzekło, — jest to łącznik pomiędzy aktem wewnętrznym a przedmiotowym światem; łącznik zaś końca nie ma, aż we wszechwielości przedmiotowej. Łącznik jest to =, dwie równoległe, które nigdy spotkać się nie mogą, chyba w Bogu, lub w krzyż je złożywszy...

Z tego to pochodzi, że cała archiktektura rzymska jest tylko zogromnieniem, a następnie spotworzeniem greckiej, — wiele bowiem motywów plastycznych, tak jak i motywów muzycznych nie wytrzymuje podniesienia do ogromności niewłaściwej; — we wszystkiem miarą posiadania jest motyw zewnętrzny; ten przyszedłszy, zastępuje dużość, wielość, płaskość...

Wiadomo, iż co właściwie rzymskiem w budownictwie, to jest: ark triumfalny, z karjatydami powiązanych brańców po dwóch stronach; arkiem takim w którą zechcesz stronę przejdziesz, końca nie ma, chyba w powróceniu na toż samo miejsce, glob obszedłszy. Ale zato architektura polityczna do najwyższego stopnia tu dochodzi: drogi rzymskie do marszów, forum — jatki publiczne, bursy... O tem wszystkiem, ile to w pisma zakres wchodzi, na miejscu swojem będzie mowa; teraz spójrzmy na Rzymu urastanię i krystalizację mu właściwą, tak jak to o Grecji było pierwej.

Po oddaleniu Tarkwinjusza pięć wojen wkoło wilczycy zaświeciło; wewnętrzne rozruchy albo nieskostniałe jeszcze chrząstki rewolucyjnego organizmu, odpierając ościennych, musiały zarazem siebie wzmacniać; konieczność tu wewnętrznie i zewnętrznie silnemi działaczami, wszystka też i twórczość w hart publiczny, w jędrną idzie przytomność. Był to jakby ostrosłup wykreślający się i wkreślający w koło,... stanowisko wprost przeciwne Grecji. To też wkrótce Porsenna jest odparty, Wolski, Ekwi, Tuskulańczykowie, Veje... zbici... jeden lud ciągnie drugi, albo spycha jak falą, albo podmowami na Rzym pędzi. Rasa bitna niedługo też nadciąga, Gallowie z tyrolskich gór zsunięci, ci przeważnie znowu uderzywszy, sił czerstwiejszych odtrysk wraz dobędą, — odparci, obejmą w sztandar jeden wszystkie ludy Italji, krom Sabinów, lecz po trzykroć Rzymowi triumf jeno zostawią. Samnitowie potem coraz nowy lud prowadzą tąż drogą: Etruski, Ombryjczykowie, Galle;... lat sześćdziesiąt i kilka tego harcu, a cała Italja wewnętrzna w ręku Rzymian!

Każdy lud, albo co twórczego, co ukochanego miał, to wciekało się w krystalizujący organizm, — albo nowych ramion do szeregów, albo nowych pretensyj do ościennych nieochybnie przysparzał. O Tarent z Pyrrhusem, a więc zaraz i z Grecją wielką, wojna. — Apulijczykowie i Brutowie pobici, więc też Lukańczycy, Ombry, Picenum, Tarent wzięty... Południową Italję Rzym zagarnia.

Z wielkich wojen punickich odniesie on w łupie marynarkę, poddanie się Wenetów, Afryki część, Hiszpanję, — wraz pan cało - Italji, wysp Śródziemnego morza, Macedonji, Grecji i Ilirji. — Annibala pogromca, który ludy do walki za niepodległość w zemście wzywał...

DZIECIŃSTWO

Któregoś dnia, takiego jak i każdy inny,
który nie więcej znaczył niźli miara czasu,
kiedy deszcz bębnił o dźwięczące rynny,
przypłynęły jak echo odbite od lasu —
od dzieciństwa mojego jasne przypomnienia.

Od tych czasów, gdzie „ważne", czy też „bez znaczenia"
nie istnieje, bo wszystko jest ważne i pilne:
zagadka mysiej norki, czy kucany berek,
wyprawa wokół parku wpół zwalonym murem,
bój kotka łaciatego ze starym kocurem,
jak długo iść potrafię, bez żadnych usterek,
po szynie kolejowej? Czy żaby są silne?

Od tych czasów, gdym odbył podróż do bieguna
na sankach, poprzez śniegiem okryty warzywnik,
gdy wielki bój był stoczon szyszkami łopianu
(my w rowie, a gdzieś w krzakach ukrył się przeciwnik),
gdym, przed czem dotąd drży niejedna struna,
boje Napoleona grał na fortepianie...

— — — — — — — — — — —

Minęło już. A dzisiaj gdybym ruszył kiedy
w podróż na biegun z wielką wyprawą polarną,
może, zmarznięty docna zbyłbym życia biedy,
znacząc się w białych lodach odrobiną czarną,
— gdy tymczasem tęsknoty mej przedmiot daleki
znaleźć można w ogródku, gdy minie czas spieki,
za wzgórkiem, który w lecie był grządką rezedy.

JAN GRALEWSKI

NA WIDOWNI

† Czesław Mączyński.

ZAKOŃCZYŁ życie człowiek, którego nazwisko (chociaż, dając przykład skromności, unikał przypominania go swoim współczesnym) pozostanie na wieki w pamięci potomnych, w polskiej epopei rycerskiej, w dziejach polskiego bohaterstwa. Dnia 15 lipca zmarł naczelny komendant obrony Lwowa, pierwszy jej wódz, pierwszy organizator — ś. p. brygadjer Czesław Mączyński.

Czego dokonał w ciągu owych pamiętnych trzech tygodni (1—22 listopada 1918 r.), gdy piędź po piędzi odwojowywał zajęte przez ukraińców miasto, niechaj uprzytomnią cyfry raportu, wobec których zamałe są wszelkie słowa. W pierwszym dniu walk, kiedy Mączyński stawał na czele, miał pod komendą swą... 64 karabiny, po dniach dwudziestu dwu, w chwili zwycięstwa, odda Rzeczypospolitej:

„dział 25, auto pancerne, pancerny pociąg „Lwowianin", późniejszy „Pepetrójka", 56 karabinów maszynowych, z których żaden nie pochodził z magazynu, lecz wszystkie co do jednego na wrogu zdobyte, dwie minierki 22-centymetrowe, dziesięć minierek 9-cm.; Wojsku Polskiemu odda warsztaty wojskowe, zatrudniające przeszło tysiąc robotników, zorganizowaną kolumnę samochodów i gotowe do wymarszu tabory, sześć do natychmiastowego użycia przysposobionych aparatów lotniczych, intendenturę pracującą składnie, nietylko dla wojska, lecz i dla ludności cywilnej,— a z walczących przekaże 1.682 „karabinów" piechoty, dwa szwadrony jazdy, i choć część armat była w naprawie, gdyż wszystkie nadmiernie pracowały, cztery pełne baterje artylerji" [1]).

*

Zobaczyłem Czesława Mączyńskiego w jednym z pierwszych dni walk: stał spokojny, jakby coś obmyślając, w zwykłym ciemnym ubiorze „cywila", bez jakichkolwiek odznak swojej szarży. Przypatrywałem mu się, nie wiedząc, kim jest: z nas, szeregowców, jeszcze nikt prawie nie orjentował się, jak wygląda naczelny komendant.

Właśnie do sieni budowli, gdzie mieściło się dowództwo odcinka, przyniesiono rannego podoficera (cały teren dookoła nas był pod obstrzałem). „Czego gapicie się tu?" — fuknął nagle młody medyk na stojącego wpobliżu — „Lepiejbyście pomogli zdjąć mu buty!"

Mączyński, nie zdradziwszy się ani słowem, podszedł pośpiesznie, i powoli, z troskliwością największą, począł ściągać buciska z nóg zranionego... W parę chwil później, wysłuchiwał już relacji komendanta odcinka, układał plany dalszych działań, wydawał rozkazy. — — —

Drobny to epizod, zapewne, jak jednakże wymowny, jeżeli chodzi o jedną z najbardziej znamiennych cech Mączyńskiego jako dowódcy: przywiązanie, jakąś niemal ojcowską tkliwość w stosunku do swych podkomendnych. Ileż przykładów owego przywiązania, owej dbałości możnaby przytoczyć z dziejów dalszych kampanij, z roku 1920, kiedy to, już w randze brygadjera, formował Małopolskie Oddziały Armji Ochotniczej, wsławione w bitwach pod Krasnem i Zadwórzem!... Ale świadectwem najpewniejszem, dla każdego dostępnem, pozostanie tu jego dwutomowe dzieło, wkrótce po zakończeniu wojny ogłoszone — „Boje lwowskie". W przeciwieństwie do tylu ksiąg, publikowanych przez wojskowych, dbałych wyłącznie o przekazanie potomności własnych zasług, Mączyński o sobie samym odzywa się tonem sprawozdawczym, jakgdyby nieosobowo, cały swój trud pisarski i cały talent poświęcając jedynemu celowi: ukazania, uwydatnienia heroizmu swoich żołnierzy. „Z takim ochotnikiem można było trwać i wytrwać" — oto główna treść jego wywodów.

*

Już w okresie wojny światowej, jako oficer austrjacki, Mączyński przygotowywał się do roli historycznej, jaką później wypadło mu odegrać. Ideowo i organizacyjnie związany z obozem przeciwniemieckim, kierowanym przez Romana Dmowskiego, z ramienia tegoż obozu począł tworzyć Polskie Kadry Wojskowe, tajny związek Polaków w armjach państw centralnych, sposobiący się na oczekiwaną chwilę ich klęski. W momencie rozpadania się Austro-Węgier, jesienią roku 1918, związek ten stanowił główny ośrodek siły polskiej na terenie Galicji Wschodniej [2]).

Było tedy rzeczą naturalną, że w obliczu zamachu ukraińskiego, Mączyński objął dowództwo wojsk polskich, przy współdziałaniu pozostałych grup i formacyj: „peowiaków" i niezorganizowanych legjonistów (był wśród nich kpt. de Laveaux oraz kpt. Pieracki, późniejszy minister spraw wewnętrznych), wiernych Radzie Regencyjnej „wehrmachtowców", „sikorszczyków" i t. d. Stał się jakby symbolem jedności narodowej, zespolenia wszystkich wysiłku, — nakazu, który Lwów, walczący z wrogiem, jeszcze raz rzucał Polsce całej, jak ongi, w chwili ślubów Jana Kazimierza...

*

A nietylko współczesnych jednoczył Mączyński, ale, jakby więzią jakąś tajemniczą, pod jego przewództwem dokonywało się zespolenie teraźniejszości z przeszłością, „dalekie" stawało się znowu „bliskiem". Kto zobaczył chociaż raz jego postać, pełną życia zarazem i powagi, jego czaszkę ogoloną, zawiesisty wąs, oko szczere — musiał przyznać, iż takiemu żołnierzowi nie dzisiejszy mundur był strojem właściwym, lecz jedynie — kontusz i karabela! Nikt nie zdołałby być bardziej Polakiem, i z fizycznej rasy i z duchowej, Polakiem w każdym słowie, czynie, geście, dziedzicem bohaterstwa i chwały.

Dane mu było, że urzeczywistnił ideał „prawego rycerza", że jako dowódca zwycięski wskrzesił tradycje Zbaraża, Trembowli, Chocimia, ozłocił „zawsze wierny" Lwów nową glorją.

Polska dziś salutuje przed jego trumną.

JAN REMBIELIŃSKI

---

[1]) Jerzy Dunin Wąsowicz, por. W. P.: „Listopad 1—22.XI-1918 we Lwowie", str. 16.

[2]) Pisząc o bohaterskiej śmierci jednego z członków Polskich Kadrów Wojskowych, pierwszego dowódcy na „odcinku Bema", ś.p. ppor. Kułakowskiego, Czesław Mączyński dodał następującą uwagę:

„Dziwnie się zaiste złożyło, że z zaprzysięganych jednego wieczoru 10 oficerów na członków P. K. W., był to szósty, który już oddał życie za Ojczyznę. Złowróżbny ten omen nie przeraził, nie powstrzymał reszty w brawurze. Trzech z nich doczekało tylko radosnego dnia oswobodzenia Lwowa, ale i tym nie było pisane wyruszyć ze Lwowa w ogólnym ataku. Spoczęli wszyscy na jednym wzgórku „obrońców Lwowa". Nadzwyczaj dzielną była ta dziesiątka, ale i piekielnego miała „pecha" („Boje lwowskie", t. I str. 158).

GŁOSY

ROZWIĄZANO JUŻ dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej izby ustawodawcze oraz ogłoszono termin nowych, na innych aniżeli dotychczas opartych zasadach wyborów do Sejmu i Senatu. Wybory te, ponieważ kandydatur opozycyjnych nie będzie, z natury rzeczy sprowadzą się tylko do wybierania pomiędzy członkami obozu „prorządowego". Przygotowania więc, tyczące „wypowiedzenia się społeczeństwa", mają znamiona organizowania jeszcze jednej fikcji. Staranność jednak i zapobiegliwość, z jaką władze administracyjne ten akt przygotowują, wskazuje, że do fikcji tej przywiązują ogromną wagę. Zdziwić nas to może w pierwszej chwili, przy bliższem wszakże przyjrzeniu się, zrozumiemy dobrze każdy przejaw troskliwości, a nawet pieczołowitości sfer decydujących. Przecież ochrona fikcji jest jednocześnie ochroną całego systemu, jego najgłębszej istoty.

Konsekwencją tego, nieubłaganą i konieczną musi być i jest rzeczywiście: frazes. On to w dzisiejszej rzeczywistości zajmuje zaszczytne i wielkie miejsce — idei. On musi wzruszać i pociągać, uczyć i wychowywać. Tutaj, tu właśnie a nie gdzieindziej, należy szukać wytłumaczenia faktu, dlaczego, mimo usilnych starań, obóz rządowy nie może znaleźć drogi do młodzieży, tak, że musi ogłaszać zupełną kapitulację, jak to mieliśmy sposobność niedawno się przekonać, w związku z oficjalnemi enuncjacjami, tyczącemi się „Legjonu Młodych", tej „młodzieżowej" organizacji, w której szukano następnych „sanacyjnych" pokoleń.

Pozostaje więc polityka z dnia na dzień, od wyborów (tak, panowie antyparlamentarzyści!) do wyborów, od fikcji do fikcji, system, którym można jeszcze pociągnąć czas jakiś, ale o którego losach zadecyduje ostatecznie czas—nowe koncepcje, świeżość światopoglądu. Życia na dłuższą metę nie można karmić frazesem, chociażby siła wmawiała, iż jest to pokarm najpożywniejszy, najbardziej sycący i krzepiący.

LEGENDA O BASTYLJI

SŁOWO „Bastylja" stało się symbolem w tem znaczeniu, które postarali się narzucić opinji publicznej entuzjaści Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Bastylja to, dla przeciętnego inteligenta na wszystkich kontynentach świata, pomnik tyranji, który został zburzony przez falę wyzwoleńczego porywu, co owładnęła ludem paryskim z powodu przepełnienia się czary nieprawości.

Pomimo, że już dość dawno ukazały się poważne prace, zmuszające do zupełnie innego oceniania wydarzeń paryskich z 14 lipca 1789 roku (dzieła Mortimer-Ternaux, Taine'a, Funk Brentano), jednak dotąd panuje powszechnie prawie legenda, sfabrykowana przez Micheleta, Lamartine'a, Louis Blanc, Carlyle'a oraz ich uczniów Lavisse'a, Aularda i t. d. Prawdopodobnie legenda wielkorewolucyjna o Bastylji nie miałaby tak długiego żywota, gdyby nie została wypowiedziana we wspaniałych frazesach, gdyby nie wydawała się logiczna i odpowiadająca uczuciom powszechnym. Historycy jakobińscy, romantyczni i masońscy postarali się zagłuszyć wszelkie współczucie dla szlachetnych ofiar terroryzmu, kłamliwie przedstawiając, że ów terroryzm był wyrazem świętego oburzenia na wielowiekowy okrutny ucisk; z tego powodu 14 lipca 1789 r. przedstawiany jest w barwach uroczystych i triumfalnych, bo przecież „piękna sprawa" nie mogła być realizowana przy pomocy złych środków. Tymczasem jak było naprawdę? Nie mając miejsca na rozważania o całym przewrocie wielkorewolucyjnym, ograniczymy się do przytoczenia faktycznych danych o Bastylji i jej „zdobyciu".

Bastylja nie była zbudowana jako więzienie; był to starożytny *chateau—fort* królów francuskich, którzy umieszczali w nim, tak jak w innych swoich zamkach, osobistości różnorodnej kondycji, których odosobnienie było dla nich wygodne z powodów politycznych, albo nawet prywatnych. Do końca swego istnienia Bastylja zachowała nieokreślony charakter; kraty w oknach umieszczono w Bastylji dopiero przy końcu panowania Ludwika XIV, żadnego specjalnego regulaminu, co do jedzenia i ubrania, dla przymusowych mieszkańców Bastylji nie było. Osoby, zatrzymane w Bastylji, mogły się ubierać i meblować swoje pomieszczenie według uznania; ci, którzy nie sprowadzali z sobą swojej służby, otrzymywali pożywienie z kuchni komendanta, przyczem mieli prawo wybierania potraw z przedstawionego im *jadłospisu.*

Jakie było to *ménu*, świadczą wspomnienia więźniów tudzież noty zarządu Bastylji. Generał Dumouriez, który znajdował się w Bastylji w końcu panowania Ludwika XV, wspomina w swoich pamiętnikach, że obiad składał się z sześciu a kolacja z trzech dań, nie licząc deserów; w wykazie pożywienia bogatszych więźniów znajdujemy krem czekoladowy i pulardy z truflami, a wśród dań spożytych przez więźniów najniższej kondycji jest, w zachowanych rachunkach, po sześćdziesiąt butelek wina miesięcznie. Rodzina i przyjaciele mogli odwiedzać z całą swobodą więźniów, którzy dla rozrywki trzymali w swoich celach psy i ptaki. Skarb królewski dostarczał więźniom pieniędzy na odzienie, i to nie bylejakie, gdyż uwięzieni kazali sobie kupować jedwabne suknie, ozdobione futrem szlafroki i t. d. Wielu skazańców, wychodząc na wolność, nie miało chwilowo zajęcia i w tych wypadkach zarząd Bastylji wypłacał im zapomogi, które po przeliczeniu na dzisiejszą monetę dochodzą do paru tysięcy franków; tych, których pobyt w Bastylji władze uznały za nieusprawiedliwiony, wynagradzał król dożywotnią pensją, wynoszącą czasem kilkanaście tysięcy dzisiejszych franków rocznie. Bastylja był to więc prawdziwy *carcer modelo*—więzienie wzorowe, obóz koncentracyjny, czy też „miejsce izolacji", ale jakże różne od tych, które dzisiaj istnieją!

Minister Ludwika XVI, hrabia de Bréteuil, miał zamiar zburzyć Bastylję ze względu na uregulowanie komunikacji w Paryżu, wykonanie tego zamiaru nastąpiło w sposób nieoczekiwany dnia 14 lipca 1789 r. Był to „*le beau jour*", według p. Bailly, który odegrał doniosłą rolę w rewolucyjnem Zgromadzeniu Narodowem i w ciągu paru lat doczekał się gilotyny; wysławiał także „zdobycie" Bastylji Lingué, wybitny adwokat i paszkwilista, który, przesiedziawszy w Bastylji kilka

lat, napisał o niej zjadliwe pamiętniki i uchodził za jedną z ofiar tyranji monarchicznej; tyranów poznał dopiero Lingué po „pięknym dniu", gdyż wodzowie ludu niedługo się Lingué'm interesowali i gdy zaczął narzekać na „swobodny" ustrój republikański, ścięto go poprostu, w żadnej już Bastylji nie zatrzymując.

Gmachy bastylskie nie były 14 lipca 1789 r. ani oblężone przez lud paryski, ani zdobyte. Cały „lud paryski" składał się z około tysiąca zbirów, uzbrojonych od stóp do głów, dzięki uprzedniemu obrabowaniu Arsenału; do tych zbirów przyłączyły się oddziałki t. zw. *gardes françaises*, którzy znajdowali się w owym czasie w zupełnem rozprężeniu i byli niejednokrotnie suterenami. Zajęcie Bastylji odbyło się podstępnie przez złamanie słowa honoru, tak że w ostatniej chwili padł tylko jeden strzał armatni ze strony zaskoczonej załogi, która składała się z 95 inwalidów i 30 szwajcarów. Cała ta załoga, złożona z bohaterskich i wiernych przysiędze żołnierzy, została wymordowana z najbardziej wyrafinowanem okrucieństwem; dość powiedzieć, że komendantowi de Launay odciął głowę scyzorykiem (!) czeladnik rzeźnicki, którego zachęcono do roboty szklankami wódki zmieszanej z prochem; serce jednego z oficerów obnoszono z triumfem w bukiecie białych goździków! Po zdobyciu Bastylji, zamordowano jeszcze naczelnika władz miejskich *(prévôt de marchands)* Flesselles'a. Ogół mieszkańców Paryża nie ukazywał się w czasie tych zajść na ulicach i panowało powszechne zdziwienie, że 35 tysięcy żołnierzy obozowało spokojnie na Champs de Mars, nie otrzymując rozkazu przestraszenia zbirów, choćby swoim widokiem. Władza abdykowała; o to właśnie chodziło przywódcom rozruchów, którzy zaczęli rewolucję i chcieli ją doprowadzić do końca, jednak po „zdobyciu" Bastylji przypuszczano jeszcze, że król zarządzi uprawnione represje. Jak tylko wieść o rewolcie, zaczynającej rewolucję, doszła do Wersalu, natychmiast obrońcy praw człowieka i obywatela zatroszczyli się o stworzenia legendy, która dotąd żyje. Atak tłumu, któremu chodziło o zrabowanie broni, uczyniono wyzwoleńczym pochodem ludu. Nazajutrz po zburzeniu Bastylji, zdumieni paryżanie dowiedzieli się, że żadnego buntu nie było, że był „piękny dzień", w którym lud wymierzył sprawiedliwość. Ludwik XVI oświadczył, że nie chce rozlania kropli krwi francuskiej.

Czy dnia 14 lipca 1789 r. uwolniono rzeczywiście ducha ludzkiego, jak to głosiło i głosi jeszcze tylu pseudo-historyków i poetów? Uwolniono wtedy siedmiu więźniów: rozpustnego arystokratę, czterech fałszerzy i dwóch warjatów; ducha ludzkiego jednak wtedy nie wyzwolono. Przeciwnie, powstał konflikt natury nietylko politycznej, ale i moralnej. Konflikt ten trwa dotąd i jego rezultatem jest ten poważny, zasadniczy kryzys moralny, który przeżywa dzisiaj Francja w 65-ym roku istnienia III republiki, spadkobierczyni wielkorewolucyjnych ideałów. Okres terroryzmu dawno się skończył, ale duch „zdobywców" Bastylji, stawszy się duchem *régime*'u, doprowadził do tego, że jak stwierdza Tardieu w książce, którą niedawno na tem miejscu omawialiśmy, „w szkole nie mówi się o Bogu od lat pięćdziesięciu, o ojczyźnie od lat trzydziestu, o wojnie od lat piętnastu". Od roku 1880 rocznica zburzenia Bastylji jest oficjalnem świętem państwowem, ale od kilku lat coraz większe znaczenia ma święto Joanny d'Arc, którego realizacja jest zasługą monarchistów z „*Action Française*". „Bastylją" nazywają dziś Izbą deputowanych — i niedawno czytaliśmy w „*Je suis partout*", organie Gaxotte'a, najlepszego historyka Wielkiej Rewolucji, artykuł poświęcony manifestacjom lewicowym urządzonym w Paryżu 14 lipca bieżącego roku i zatytuawany „*La défense de la Bastille*".

L. AUDUN

NAUKA i LITERATURA

KULTURA I WYCHOWANIE

Zeszyt 4-ty „K u l t u r y i W y c h o w a n i a" zamknął rocznik II, ukazujący się w zmniejszonych znacznie, w porównaniu z ubiegłym rokiem, rozmiarach.

Rudolf Dreikurs w podstawowej pracy „Pedagogika indywidualna" (z rękopisu niemieckiego przełoż. Jadwiga Suchodolska), opierając się na psychoterapeutycznych doświadczeniach Alfreda Adlera („Studjum o upośledzeniu organicznem") i jego uczniów, charakteryzuje cele i metody nowoczesnej pedagogiki indywidualnej. Bogaty materjał eksperymentalny czerpie on z długoletniej praktyki w wiedeńskich poradniach pedagogicznych.

Liberalny w tendencji, artykuł jest wymierzony przeciwko zastarzałym przesądom wychowawczym, przekazywanym, mimo zmienionych z gruntu warunków, siłą inercji z pokolenia w pokolenie, w rodzinach i społeczeństwach, opóźniającym niechybnie prawidłowy rozwój psychiczny dzieci.

W zreasumowaniu szkicu należy uwzględnić następujące wskazania dla wychowawców (przedewszystkiem dla rodziców, którzy — ze względu na fundamentalność przeżyć rodzinnych dla psychicznej struktury dziecka — równie metodycznie jak dzieci, winni być oświeceni i w y c h o w a n i): rozwijanie uczuć społecznych — umiejętności i chęci współżycia, zaprzestanie „prestiżowego" wyłącznie współzawodnictwa z dzieckiem, przełamanie w niem poczucia niższości i, płynącej stąd, antyspołecznej, (co się u dziecka rozumie — antyrodzinnej) przekory przez dodawanie otuchy i wzmacnianie o d w a g i, zerwanie z systemem poniżeń, mających rzekomo pobudzać uśpioną ambicję, dalej zastąpienie fragmentarycznego naprawiania dopiero pewnych tylko, w razie gwałtownej potrzeby, braków w psychice dziecka — bardziej celowem ujęciem w ręce kierownictwa jego życiowego planu, a więc i całkowitej indywidualności, wreszcie usunięcie często zupełnie fantazyjnych kar na rzecz, wymownego w swym spokoju, wyciągania wszystkich naturalnych konsekwencyj, wynikających z pogwałconego porządku.

Bogdan Suchodolski w artykule „Praca jako zagadnienie kultury" domaga się zreformowania środowisk pracy w tym duchu, aby owoce jej nie sprzeciwiały się duchowym potrzebom pracujących. Bywa bowiem, że wysiłek podjęty, zostaje bezużytecznie lub co gorsza, ze szkodą dla społeczeństwa — dla zarobku jedynie kontynuowany. Taki, niewdzięczny trud rodzi niechęć do samych siebie, budzi niesmak do wegetacyjnego wyłącznie bytowania.

Jeszcze w większym stopniu niszczy psychikę praca, pozbawiona pierwiastka myśli, wypełniana mechanicznie, na wzór maszyny.

To też niewiele pomoże dostarczanie pracującym okazji do najlepszego zużycia wolnego od pracy czasu, jeśli godziny, jej poświęcone, wychowywać będą „robotów", wytwarzać ciągle ogniące niezadowolenie z własnego losu, pomniejszać człowieka w jego najgłębszem poczuciu.

Dopiero ludzie, miłujący przebieg swych działań (wartość uczuciowa samego działania w naszej epoce nie może

być, oczywiście, kwestjonowana) i ich wyniki, osiągną pełnię zadowolenia z twórczości, która jest niczem innem, jak tylko oddaniem się człowieka bez reszty wysiłkowi, będącemu wewnętrzną potrzebą, i nadziei zdobycia laurów, co są bodźcem i nagrodą po trudzie.

W rozdziale o t. zw. szkołach pracy autor stoi na stanowisku utrzymania szkół ogólno-kształcących, „warunków, w których mogłaby się rozwinąć swoista twórczość wieku młodzieńczego". Poziom kultury zależy nietylko od stopnia przydatności do pracy, ale i od umiejętności zorganizowanego zużywania wczasów.

Ozdobą zeszytu są „Wizje Wschodu" Swami Jagadiswarananda, sprowadzające różnicę między Wschodem i Zachodem do wyższości systematycznego ćwiczenia w spokoju ducha nad przypadkowem, u wybranych, tegoż osiągnięciem. Z lekceważenia (rekolekcyjnego — jakbyśmy dziś powiedzieli) nawoływania: *Gnotis Auton*! Poznaj samego siebie! — płyną dalsze, chroniczne niedomagania współczesnej cywilizacji europejskiej. Nam się wydaje, że jeszcze — i, kto wie, czy nie przedewszystkiem z zagrzebania w pyle pamięci, bliższego naszej psychice, zawołania: „Pokój ludziom dobrej woli"! (ST. J.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W najbliższych dniach ukaże się, jako odbitka z „Myśli Narodowej", książka Stanisława Didiera p. t. „Rola neofitów w dziejach Polski". W wydaniu książkowem dzieło uzupełnione zostało obszerną bibljografją naukową tudzież skorowidzem.

Cena 2 zł. 50 gr.—dla prenumeratorów „Myśli Narodowej" 1 zł. 50 gr.

*

Henryk Życzyński: „Brodziński — teoretyk sielanki, kartka z dziejów poetyki polskiej i dziejów uniwersytetu warszawskiego". Lublin 1935 r.

Autor w poprzednio ogłoszonych „Badaniach nad historją estetyki i historji literatury w Polsce" zajął się twórczością Brodzińskiego w rozprawach „Brodziński i Mickiewicz wobec Laokoona Lessinga", i „Charakterystyka poezji K. Brodzińskiego". W nowem studjum rozpatruje charakter sielanki w początkach romantyzmu i jej ówczesne nazwy: idylli, poematu sielskiego, pasterki i pierwotnej rzymskiej bukoliki, niejako zacieśniającej pojęcie przedmiotu do opisu życia pasterskiego, tak jak znów nazwa sielanki ograniczała ją do odzwierciadlania życia rolniczego. Cytuje określenia Brodzińskiego i Golańskiego, że „idylla jest wystawieniem szczęścia w ograniczeniu", opinję Józefa Lipińskiego, estetyków obcych, francuskiego i angielskiego.

Rozprawa Brodzińskiego „O idylli pod względem moralnym" omawiała temat z szerszego filozoficznego stanowiska, pod widocznym wpływem jego ulubionego poety Jana Pawła Richtera, autora idealistycznej poetyki. Brodziński wierzył w powrót złotego wieku ludzkości, braterstwo ludów i raj na ziemi. „Brodzińskiemu" — pisze Życzyński, — „mogło chodzić o dwie rzeczy. Przedewszystkiem były to pierwsze lata Królestwa Kongresowego, kiedy łudzono się jeszcze, że stosunki polsko-rosyjskie ułożą się w sposób pokojowy, na zasadach braterstwa. To też i poeta sądził, że nauka i literatura winny oddziaływać na bieg wypadków w duchu pojednania, jako czynnik duchowego rozwoju ludzkości". Właściwa myśl Brodzińskiego skrystalizuje i spotęguje się w słynnej rozprawie „O narodowości Polaków", którą prof. Chrzanowski nazwie „syntezą polskiej ideologji narodowej od trzeciego rozbioru do roku 1831, a z zdrugiej strony zapowiedzią ideologji późniejszej".

(A. W.)

*

Wincenty Ogrodziński, „Związki duchowe Śląska z Krakowem na przełomie wieków XVIII i XIX". Katowice 1935 r. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego, Skład główny, Warszawa, Kasa im. Mianowskiego. O przynależności Śląska do Prus miała najrealniej, w myśl Fryderyka pruskiego, zdecydować kolonizacja. Rząd pruski osiedlił na ziemiach Śląska przeszło 14 tysięcy niemieckich rodzin rolniczych, a natomiast około 12 tysięcy rodzin chłopów polskich uciekło z Górnego Śląska w kierunku Krakowa. Ci, co zostali na Śląsku, mieli pod naciskiem zarządzeń policyjnych ulec wynarodowieniu. Jedyną ostoją polskości było żywe słowo w kościele i gospodarcza łączność z okolicami Krakowa. Śląsk pozbywał tu swoje płótna, a nabywał zboże i jarzyny.

Polski rytm Krakowa budził serca śląskich Polaków, a nawet polonizował Niemców. „W roku 1794 ostatnim obrońcą zamku wawelskiego", — pisze pan W. Ogrodziński,— „był Niemiec Manderle, a za Wolnego Miasta Jan Nepomucen Walter był jednym z najzagorzalszych patrjotów polskich i osłaniał niejedno działanie spiskowe, chociaż do śmierci nie nauczył się po polsku". Dzielnie też przeciw akcji germanizacyjnej stawało duchowieństwo i zakony. Młodzież ze Śląska garnęła się na uniwersytet Jagielloński. Z czasem uniwersytet zainteresował się przeszłością Śląska. Największe w tej dziedzinie, po Kołłątaju, zasługi położył profesor Jerzy Samuel Bandtkie.

Autor studjum podaje życiorysy licznych wybitnych ze Śląska działaczów narodowych, profesorów i uczniów uniwersytetu, i w sposób naukowy wskazuje na historyczne węzły Polski z jej najstarszą dzielnicą. (A. W.)

*

Feliks Różycki, Roman Kolendra i Tadeusz Paszkowski: „Bielany pod Warszawą, Przewodnik dla wycieczek geograficzno-przyrodniczych z ilustracjami", Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa. Przewodnik ten dla wycieczek naukowych, geologicznych, geograficznych, botanicznych i zoologicznych opracowany został przez wyżej wymienionych autorów w sposób fachowy, pedagogiczny i popularny. Uwzględnia stopień wykształcenia zwiedzających, i ułatwia w otwartej księdze natury zapoznania się z materjałem przyrodniczym. A przytem, przy pouczaniu o florze i faunie lasów i wód okolicy Bielan i Młocin, uświadamia o historji tych miejscowości. O tem, że Bielany założył król Władysław IV i zbudował tam kościół drewniany, a królowie Jan Kazimierz i Michał Korybut Wiśniowiecki zbudowali kościół murowany. Żoliborz założony został w drugiej połowie osiemnastego wieku przez Augusta Orłowskiego, rektora konwiktu księży pijarów, w miejscu gdzie później, po zburzeniu willi i ogrodów, car Mikołaj I kazał zbudować Cytadelę. Marymont otrzymał nazwę od Marji Kazimiery Sobieskiej. W Tarchominie w roku 1583 zbudowali dworek i kościółek gotycki Ossolińscy, zaś pałacyk zbudował minister Mostowski. Dziś, gdy minione czasy coraz dalej od bieżącego życia odsuwają się w niepamięć, dobrze, że młodzież na wycieczkach przyrodniczych wzdłuż brzegu Wisły wspomni o przeszłości narodu. (A. W.)

*

J. Borkowski i St. Stępowski: „12.000 mil morskich na „Darze Pomorza", z ilustracjami". Wydawnictwo „Zorzy". Warszawa 1935 r.

Kandydaci na oficerów marynarki handlowej, uczniowie Szkoły Morskiej, odbyli tę interesującą wędrówkę morską, i dwaj z nich opisali doznane w podróży wrażenia.

Książkę, suto ilustrowaną, rozpoczyna obraz tego ogromnego żaglowca, opis jego historji i budowy. Przygotowania do odjazdu poprzedziły ćwiczenia w nauce wiosłowania, zwijaniu i rozwijaniu żagli, jakoteż zaznajomienie się ze statkiem, jego ożaglowaniem, olinowaniem i robotami pokładowemi, w czem najważniejszą częścią jest tak trudne dla początkującego ćwiczenie chodzenia po masztach i zwijania żagli, a też utrzymanie się w hamakach w czasie spoczynku. Poczem następuje uroczysty moment odbicia statku od brzegu i podniesienia bandery. Służba i zajęcia na morzu, inne niż w porcie, przepływ przez Bałtyk, burza, widoki wysp Kanaryjskich i zachodnich brzegów Afryki, choroba morska, polowanie na rekina doprowadzają do chwili, tak ważnej w życiu każdego marynarza, przejścia równika. Równik poprzednio przebył z polskich statków, statek marynarki handlowej „Lwów", później statek frachtowy „Niemen", a teraz jako trzeci „Dar Pomorza".

Radosny ten fakt obchodzili chłopcy tradycyjną maskaradą, w prowizorycznie skomponowanych strojach bożka morskiego Neptuna i jego orszaku, muzyką zaimprowizowanej orkiestry i „chrztem" okrętu. W dalszej drodze, już po południowym Atlantyku, dotarł żaglowiec do brzegów Brazylji, jechał ku Małym Antylom, wzdłuż zatoki Meksykańskiej, i wreszcie, po siedmiu miesiącach, zawrócił do domu.

Wrażenia z podróży czyta się z serdecznem zainteresowaniem. Opisali je chłopcy stylem prostym, z humorem

i temperamentem młodości. Drobne przypiski wyjaśniają znaczenie fachowych terminów budowy statku i czynności marynarza. (A. W.)

*

Nakładem Instytutu Śląskiego w Katowicach wyszły w tych dniach dwie nowe i bardzo cenne prace:

1) Witolda Taszyckiego „Śląskie nazwy miejscowe" (z mapą. Nakładem Instytutu. Str. 36. Cena 1.80). Po naszkicowaniu najdawniejszych dziejów, form i znaczenia Śląskich nazw miejscowych, autor podaje wykaz osobliwości imiennictwa miejscowego na Śląsku, oświetla procesy dokonanych zmian w zasobie śląskich nazw miejscowych oraz zaznajamia czytelnika z wynikami ostatnich badań polskich nad pochodzeniem nazwy „Śląsk".

2) Wiktora Nechaya „Śląsk jako regjon geograficzny". (Stron 51 z rycinami. Cena 2.50). Na podstawie szeregu typowych sprawdzianów z dziedziny typografji i geologji, hydrografji, klimatu i roślinności śląskiej, autor wykreśla granice naturalne Śląska, wyodrębnia Śląsk jako typowy regjon geograficzny, odpowiadający wszelkim cechom koniecznym dla uznania regjonalności, przyczem jednak wyłania się fakt, że jako regjon Śląsk tworzy integralną część Polski, jako całości geograficznej.

TEATR

„STARE WINO" W TEATRZE NARODOWYM

„STARE WINO", którem nas uczęstował teatr Narodowy okazało się kwaskowatym cienkuszem, rozcieńczonym wodą. Taki cienkusz podczas kanikuły daje się pić pełnemi haustami i jest napojem wcale orzeźwiającym. Rozsmakowywać się jednak w nim i dowąchiwać szlachetnego „bukietu" niepodobna. Nie można się nim upoić, ani odurzyć. Pierwsze łyki... Chciałem powiedzieć: pierwsze sceny zdawały się zapowiadać napisaną z temperamentem komedję, rozgrywającą się między prawdziwymi, obdarzonymi autentyczną psychiką ludźmi na solidnie podmalowanem tle obyczajowem. Autorowie (Seymour Hicks i Ashley Dukes) wprowadzili nas w rodzinę francuskich fabrykantów szampana, pokazali prawdopodobne wnętrze wielkoburżujskiego domu. Ale już w połowie pierwszego aktu, okazało się, że ta rzekoma komedja jest tylko farsą, a występujące w niej osoby zabawnemi marjonetkami, nieposiadającemi ani kropelki krwi żywej, poruszanemi przy pomocy widocznych sprężynek i sznurków.

Marjonetek tych jest wielka obfitość i prawie wszystkie są z początku zabawne. Pokazano nam na scenie aż pięć generacyj rodziny Popinotów, począwszy od osiemdziesięciotrzyletniej praprababki, skończywszy na paroletniej praprawnuczce.

Praprababcia (może to zasługa mistrzowskiej gry pani Stanisławy Wysockiej) wydaje mi się stosunkowo najlepszą, najżywiej odmalowaną figurą w sztuce. Jest to zabawny tyran w spódnicy, herod-baba, zdrowa jak rydz i krzepka jak dąb, nosząca najmodniejsze suknie, uondulowana, uplatynowana, pijąca wino, paląca papierosy, rządząca swoją rodziną despotycznie i energicznie, czuwająca nad interesami firmy Popinotów. Praprababcia ta ma lekkomyślnego synka (gra go — oczywiście wybornie — pan Junosza Stempowski). Synalek ów liczy sobie lat sześćdziesiąt cztery, jest jednak zdrów jak byk, elegancki jak znakomity artysta, który rolę jego kreuje, uprawia wszystkie sporty, wygląda conajwyżej na lat czterdzieści kilka.

Otóż ów synalek, ku zgorszeniu swoich czterdziestokilkoletnich potomków, prowincjonalnych starszych panów z brzuszkami i brodami, hula zagranicą, wydając więcej pieniędzy, niż wynoszą jego roczne dochody. Synowie postanawiają wziąć papę pod kuratelę, osadzić go na resztę dni żywota na głuchej prowincji, w odwiecznem zamczysku rodziny Popinotów. W tym celu zwołują radę familijną. Przypuszczają, że papa ich rujnuje się na jakąś płatną faworytę, z którą przy pomocy władz sądowych bez trudu go rozłączą.

Tymczasem okazuje się, że sześćdziesięcioczteroletni hulaka jest szczęśliwym małżonkiem przemiłej, ślicznej i pełnej temperamentu sycyljanki, która wyszła za niego z miłości, jest w nim zakochana po uszy i ma z nim najlegalniejsze dziecko. Wobec tego o wzięciu papy pod kuratelę nie może być mowy. Akty drugi i trzeci wypełnione są triumfami sześćdziesięciolatka nietylko nad swymi czterdzieletniemi synami, ale nawet nad dwudziestoparoletnimi adonisami, którzy się umizgują nadaremnie do jego (granej z wielkim wdziękiem przez panią Modzelewską) młodziutkiej żony.

Summa summarum „Stare wino" jest sztuką, napisaną dla rozrywki i pociechy starszych panów. Widzowie młodsi nie nudzą się na tym spektaklu tylko dzięki koncertowej grze aktorów. Wysocka, Stempowski i Modzelewska umieją nadać pozór prawdopodobieństwa najbardziej niewiarogodnym sytuacjom i wywoływać śmiech oraz oklaski w najsłabszych miejscach sztuki. Obok tej trójcy naczelnej należy gorąco pochwalić grę panów: Chmielewskiego, Grolickiego, Małkowskiego, Michalaka, Mileckiego oraz pań Żeliskiej i Sulimy. Pan Ziembiński wyreżyserował sztukę naogół bardzo sprawnie, tempo jednak widowiska należałoby nieco przyśpieszyć. S. J. G.

NOWE KSIĄŻKI

Lorentowicz Jan. *La Pologne en France. Essai d'une bibliographie raisonnée*. I (Literatura, teatr, sztuka). Paris. S. 208.

Pamiętnik Literacki. Rok XXXII, z. 1—2.

Żytomirski Eug. Do przyjaciela (Poezje). Warszawa, 1935. F. Hoesick.

Bułhak Jan. Wędrówki fotografa w słowie i obrazach. VII. Ruszczycowskie dożynki, z 16 ilustr. Wilno, 1935. Ks. św. Wojciecha. S. 32.

Popularne wskazania dla działacza narodowego. Wyd. II po konfiskacie. Włocławek, 1935. Nakładem Kujawsko - Dobrzyńskiego Okręgu sekcji Młodych Stron. Narodowego. S. 77.

Koneczny Feliks. O wielości cywilizacyj. Kraków, 1935. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. S. 322.

Wraga Ryszard. Sowiety grożą Europie. Warszawa, 1935. „Bunt Młodych". S. 29.

Przegląd Współczesny. Czerwiec, nr. 158.

Słomiński Zygmunt. Gospodarka Warszawy w dobie kryzysu, 1930—1934. Warszawa, 1935. S. 91.

Wojciechowski Zygmunt. Program państwowy, kierunek narodowy i wychowanie młodzieży. Poznań, 1935. Str. 51.

Lehr-Spławiński Tadeusz. Język polski jako zwierciadło duszy narodu. Poznań, 1935. S. 56.

Kordyasz Tadeusz. Wodzowi odchodzącemu. Rytmy bohaterskie. Warszawa, 1935.

Prus Bolesław. Pisma. Tom IV. Pierwsze opowiadania. Tom XI Lalka I. Gebethner i Wolff.

Małachowska Mira i Reiterowa Anna. Poradnik bibljoteczny. Katalog ułatwiający wybór książek w bibljotekach oświatowych. Warszawa, 1935. Macierz polska. S. 211.

Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój. T. XX. Warszawa, 1935. Kasa Mianowskiego. Str. VIII, 379 i 34.

Nechay Wiktor. Śląsk jako regjon geograficzny. Katowice, 1935. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego w Warszawie. Str. 51.

Taszycki Witold. Śląskie nazwy miejscowe. Katowice, 1935. Wyd. Instytutu Śląskiego. Str. 35.

POKŁOSIE

PRZYKŁAD DO NAŚLADOWANIA

NIETRUDNO jest dojść do przekonania, że wszelki postęp społeczny kraju i wszelka kultura tem jest trwalsza i gruntowniejsza, jeżeli się zaczyna od umiłowania kąta rodzinnego i pracy nad tego kąta podniesieniem. Zdarzają się nawet wśród dzisiejszych społeczeństw typu osiadłego narody, u których ta osiadłość nie jest jeszcze zbyt ugruntowana i w głębi panuje instynkt koczowniczy. Do takich społeczeństw należało np. rosyjskie, w którem ustawicznie odbywały się istne wędrówki mas ludowych w poszukiwaniu lepszych warunków bytu, i nawet warstwa większych właścicieli ziemskich rzadko kiedy siedziała na swojem, a przeważnie wędrowała w tej lub owej służbie państwowej po całej niezmierzonej przestrzeni europejskiej i azjatyckiej Rosji; w takim piasku, przesypywanym ustawicznie z miejsca na miejsce, więź musiała być słaba, co też okazało się dowodnie w czasie rewolucji, która ze zdumiewającą łatwością od jednego zamachu powaliła i zniosła wszystkie urządzenia i instytucje społeczne. Nowoczesny tryb życia sprzyja zanikowi instynktu osiadłości nawet w tych społeczeństwach, gdzie jest on zdawna rozwinięty, tembardziej więc trzeba uważać, żeby się nie stać piaskiem lotnym, poddającym się podmuchowi lada wiatru.

Tego rodzaju refleksje nasuwają się przy czytaniu, umieszczonej w ubiegłym tygodniu w „Warszawskim Dzienniku Narodowym", korespondencji z Haczowa nad Wisłokiem, traktującej o Związku Haczowiaków, organizacji, o ile wiem, jedynej w Polsce, a zasługującej ze wszech miar na jaknajszersze naśladownictwo.

Haczów, wieś w pow. brzozowskim województwa lwowskiego, leżąca w pobliżu Iwonicza i Rymanowa, znana była w przedwojennej Galicji z tego, iż wielu jej synów, pokończywszy szkoły średnie i wyższe, zdobyło wybitne stanowiska na rozmaitych polach. Nie tracili oni jednak związku ani z sobą, ani też z rodzinną okolicą i już w r. 1900 zorganizowali coś w rodzaju związku rodowego, związku, istniejącego dotychczas, odbywającego regularne zjazdy i zgromadzenia, wybierające zarząd czuwający nad sprawami przez związek prowadzonemi. O liczebności organizacji sądzić można z tego, że przeszło przez nią dotychczas 263 głów rodzin, a na jak rozmaitych polach działają Haczowiacy widać najlepiej ze składu zarządu związku, wybranego na ostatniem walnem zebraniu. Skład ten przytoczę w całości, gdyż wynika z niego jasno, w jakim stopniu czynne i kierujące w naszem społeczeństwie warstwy mogą być zasilane dopływem świeżych, tęgich sił „z dołu". A więc prezesem jest O. Szuker, prowincjał O. O. Kapucynów, wiceprezesami: znany działacz oświatowy i polityczny, poseł na Sejm, Stan. Rymar i ks. J. Matusz, sekr. gen. Stow. Młodz. Polskiej na djecezję przemyską; dalej w zarządzie widzimy M. Szubera, dyr. szkoły, P. Toczka, nauczyciela, inż. J. Stepka, pułkownika W. Stepka, przemysłowca dr. Wł. Stepka, nauczycielkę K. Wojnowską, nauczyciela St. Matusza, apl. adw. S. Szajnę, poczmistrza Jasnochę, ks. M. Tomakę: ks. prof. G. Rysza, wójta G. Pojnara, przem. S. Jakiela, ks. A. Zychowicza i bankowca St. Stepka.

Myślę, że ten krótki spis samego tylko zarządu Związku Haczowiaków może natchnąć otuchą niejednego zwątpiałego, zwłaszcza, gdy się zważy nikły udział „biurokracji" w tej elicie. Trzeba też jeszcze dodać, że wójt p. G. Pojnar jest b. studentem Akademji górniczej w Leoben... Tak oto przeludniona wieś małopolska zużytkowuje nadmiar swych rąk i głów.

Wieś nasza jest w nędzy, a nie jest to jedynie skutek „konjunktury", lecz również nieumiejętnej gospodarki i niezdolności znalezienia zajęcia dla wielu rąk. Gdy się zastanowić nad środkami wyjścia z biedy, łatwo się dochodzi do przekonania, że poza ogólną polityką gospodarczą państwa, która może conajwyżej stworzyć pomyślniejsze warunki ogólne, sama ludność musi sobie pomóc, a stać się to może tylko wysiłkiem wspólnym. Pojedyńczy wieśniak w wyjątkowych tylko wypadkach może się podźwignąć, ale czyż jest odpowiedniejszy i wdzięczniejszy grunt dla skutecznej kooperacji, jak organizacja, podobna do Związku Haczowiaków? Przecież taki związek rodowy, grupujący ludzi najrozmaitszych profesyj, rozproszoszonych po całym kraju, może się stać z łatwością patronem swojej wsi, wspomagając jej wysiłki i kierując niemi, organizując wytwórczość i zbyt, nie mówiąc już o opiece moralnej, pomocy dla zdolniejszej młodzieży i t. d.

Haczów jest może wyjątkiem, nie każda oczywiście wieś mogłaby liczyć na tak obfity zastęp swych opiekunów, ale gdyby tylko idea podobnych związków przyjęła się szerzej, to już dziś, a z biegiem czasu jeszcze liczniej, takie organizacje mogłyby powstawać i życie wsi naszej na nowe popchnięto by tory. Zwłaszcza, że zarówno warunki faktyczne, jak i wzrastające wśród młodzieży wiejskiej poczucie pomnoży zjawiska takie, jak powrót z Akademji do rodzinnej wsi; przykład wójta Pojnara nie będzie odosobniony...

Wystarczy kilkanaście takich przykładów i ośrodków organizacyjnych, a rzeczy w kraju poszłyby niebawem inaczej. Oby Związek Haczowiaków stał się dobrym pionierem!

ARGUS

NA MARGINESIE

Zabawne jest, jak reporterzy żydowscy, piszący w polskich dziennikach, zgoła nie orjentują się w rzeczach elementarnych, dotyczących społeczeństw chrześcijańskich. Oto, np., współpracownik „Kurjera Czerwonego", donosząc, iż mieszkańcy wsi Strawczyn (wojew. Kieleckie), gromadnie udali się z jakąś sprawą do biskupa, nazywa owych petentów — pątnikami...

Pośród chrześcijan wyraz „pątnik" oznacza pielgrzyma, udającego się do miejsc świętych, słynących cudami, a, jak wiadomo, pałace biskupie bynajmniej taką właściwością się nie odznaczają. Najwidoczniej dziennikarzowi poplątał się biskup z cadykiem...

*

Rozlepione zostały wielkie plakaty, zawierające „Wykaz zakładów naukowych, których dyplomy dają prawo wyborcze do senatu". Wśród wymienionych tam uczelni znajdujemy:

...Instytut Nauk Judaistycznych...

...Zakład naukowy teologji izraelickiej w Wiedniu...

Nareszcie dowiedzieliśmy się już, jakie to studja przygotowują do roli elity rządzącej w „naprawionej" Rzeczypospolitej...

*

Tenże „wykaz", w dziale „Szkoły akademickie i wyższe, ukończone przed 1.XI.1918"—„uniwersytet w Warszawie" umieszcza w rubryce... Rosja!

Rozumiemy, że nowa konstytucja pragnie oprzeć wybory do izby wyższej na cenzusie wykształcenia, ale czemuż zawiadomienie społeczeństwa o tej reformie powierzono właśnie — analfabetom?

*

Starozakonne „Wiadomości literackie", piórem p. Z. S. Klingslanda informują *ghetto* o widowisku pasyjnem, urządzanem na tle katedry Notre Dame w Paryżu. Według tej informacji, wrażenie jest najsilniejsze, gdy przedstawienie ogląda się „z maksymalnej odległości" i kiedy... nie słychać tekstu...

Jak tym żydom brak jednakże taktu i... poczucia komizmu...

*

Z „Wiadomościami literackiemi" konkuruje „Pion" coraz skuteczniej. Ostatni numer (z dn. 20 lipca r. b.) na pierwszym miejscu zamieszcza utwór żyda zagranicznego (J. Bendy — tłumaczony), na drugim miejscu żyda krajowego (C. Jellenty — tekst oryginalny). Trzecie dopiero miejsce zajmuje Polak — ale jest to artykuł dyskusyjny, redakcja w przypisku zaznacza, iż nie podziela niektórych opinij autora...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM